

Dekada

Kraków, 5 stycznia 1991 r.

Nr 6

Literacka

Tygodnik

MIĘDZY UTOPIAMI

Jan Prokop

Jan Prokop, znany krakowski eseista, prozaik, poeta, tłumacz, rozprawia się z ideą lewicowości, która — wyrosła z Rewolucji Francuskiej i Oświecenia — stała się pretekstem dla projektów utopii totalitarnej: komunizmu.

Czy od czasów zdobycia Bastylii poeta rzeczywiście zawarł alians z rewolucjonistą? Poeta romantyczny i jego bohater: Kordian, Konrad, Lorenzaccio, więzień Chillonu, Prometheus unbound? A może dokonało się to jeszcze wcześniej w podważającej podstawy państwa i społeczeństwa literaturze oświeceniowego racjonalizmu? Albo w buntowniczych pismach Sturm und Drang, gdy Schiller wystawia Zbójców? A może dopiero w epoce restauracji, gdy tyłu młodych wystąpiło przeciw metternichowsko-mikołajowskiemu zamrożeniu Europy w dawnych formach?

Święte Przymierze wydaje się wielu literatom skazanym na przegraną projektem zatrzymania historii, która kroczy nieubłagane naprzód. Legenda napoleońska szerzy się wbrew policyjnym zakazom. Zaś mały kapral pośmiertnie przybiera kształt ducha dziejów. Ależ tak właśnie, jako wcielenie ducha dziejów, nieco wcześniej, w Jenie, jego konnica objawiła się młodemu Heglowi!

To co istnieje, panujący ustrój, panujące obyczaje, normy i reguły kryzys społecznej wydają się krzyczącym wyznaniem nie tyle zdrowemu

rozsądkowi, jak niemal sto lat wcześniej sądzili Bayle czy Voltaire i encyklopedyści, ale potrzebie serca. Nigdy przedtem pokolenia nie wchodziły świadomie w tak ostry konflikt, „młodzi” nigdy przedtem nie zwalczali „starych” tak jawnie? Zresztą dopiero preromantyczny STURM UND DRANG odkrył, że młodzi różnią się od starych. Wcześniej nie istniał konflikt pokoleń jako fakt świadomości; przedtem „młodzi” spoglądali na „starych” z zawiścią, ale nie odważali się myśleć otwarcie, że doświadczenie „starych”, ich biety wstępu do świątyni kultury nadaje się po prostu na śmietnik?

Jak wydawało się oświeceniowcom przed rewolucją: ancien regime sam się kompromitował absurdalnością religijnych i feudalnych przesądów, na których się wznosił, wystarczyło domyśleć rzeczy do końca, aby fundamenty, z których wyrastał świat społeczny, rozpadły się w gruzy. Co więcej, szyderstwa oświeceniowych intelektualistów w jakiejś mierze sprawiły, że niemrawa, in-dolentna represyjność przed-

rewolucyjnej monarchii Ludwika XVI i Marii Antoniny przybrała charakter niemal operetkowy. Owa Bastylia, w której zamykano półgłówków lub oszustów porównana z Kufsteinem, Szlisselburgiem, a wreszcie z Moabittem jest więzieniem z nieprawdziwego zdarzenia... Królowie zmadrze-li po doświadczeniach terro-ru, gdy głowa jednego z nich potoczyła się do kosza z trocinami...

Dlatego zapewne na metternichowską czy mikołajowską tajną policję odpowiedzią był sztylet spiskowca. Teraz dopiero despotyzm okrzepł ale i wywołał z lasu karbonariu-sza. Dla rozegzaltowanych wspomnieniem napoleońskiej epopei studentów niemieckich, rosyjskich czy polskich uniwersytetów, rzeczywistość ery Świętego Przymierza wy-dawała się nie do zniesienia, jako sztuczne zatrzymanie biegu wydarzeń. Gorące głowy postanowiły tedy ruszyć z po-sad ziemi, daremnie okutą w kajdany przez licznych a-gentów policji.

Bratem syjamskim roman-tycznego buntownika był bo-wiem szpieg, obaj, o Matko Polko, urodzili się w tym sa-mym momencie historycznym? Czyżby wtedy dokonał się długotrwały rozwód między społecznością i poetą, który jako następca Prometeusza (a może Robespierre'a?) podejmu-je bój z mocarzami ziemi w imię przyszłego szczęścia ludzko-ści? Jako rzeźnik epoki Ducha, która nastąpi, gdy

(CIAĞ DALSZY NA STR. 3)

Elzbieta Zechenter-Splawińska

MYŚL O TYM

Myśl o tym i powtarzaj i stale pamiętaj:

mogą być większe deszcze i dłuższa posucha, ból bardziej dojmujący i milczenie głębsze a to co jest daleko — umknąć może dalej

Myśl o tym i powtarzaj i pamiętaj stale.

WIERZĘ

Wierzę, że świat jest dobry, że można nim iść nie raniąc stóp ani myśli, można w nim żyć bez tarczy, pancerza i ostróg. Moja wiara jest całkiem nowa, bezbronna jak piskle jeszcze z kawałkiem skorupy na głowie, naiwna jak czytanka szkolna i wiem: sama nie uwierzyłabym w nią wczoraj.

WIGILIA '81

Jest stół nakryty, biały obrus, żywiecna gałąź i jemiola, przed pustym krzesłem pusty talerz dla tego, kogo próżno wołać.

Znowu łamiemy się opłatkiem — czy to opłatek, czy przysięga? — i mówią do nas, ludzkim głosem, nasi pasterze i zwierzęta.

Lecz Bóg, co nocą się narodzi aby tę Miłą błogosławić, czy Ją odnajdzie w słów powodzi, co są jak piolun i dynamit?

Jest stół nakryty, obrus biały, i Socherzo h-moll to z kołędą — i tylko Mędrców wśród nas nie ma ale wierzymy, że przybędą...

(wiersz napisany w grudniu '81 — tydzień przed wprowadzeniem stanu wojennego)

O „WIADOMOŚCIACH LITERACKICH” i nie tylko...

Ze Stefanią Kossowską rozmawia Krzysztof Lisowski

Stefania Kossowska mieszka na stałe w Londynie. Była bliską współpracownicą Grydzewskiego, współredagując z nim „Wiadomości Literackie” w Londynie, aż do ostatniego numeru w 1981 roku. Obecnie p. Kossowska redaguje „Środę Literacką”, dodatek do londyńskiego „Dziennika Polskiego”.

KRZYSZTOF LISOWSKI: Twórczość Pani, jak i działalność redaktorska znana jest do dziś milionom gronu historyków literatury (a i tak, jak prof. Stępnia w swej lewicowskiej książce „Dalekie drogi literatury polskiej”

zdają się tendencyjnie interpretować Pani pisarskie intencje) i osobom interesującym się życiem literackim organizowanym poza krajem. Czy mogłaby Pani przybliżyć czytelnikowi krajowemu główne punkty swojej działalności literackiej, drogi twórczej?

STEFANIA KOSSOWSKA: Znam książkę prof. Stępnia i jego metodę naukową, przekazywaną i uczniom, o czym miałam okazję się przekonać, czytając maszynopis pracy jednego z nich, gdy chciał ją wydać w Londynie. Metoda ta polega na takim doborze cytatów, wyrwanych z kontekstu, aby podparły powziętą z góry przez autora jakąś jego tezę.

Ale nie mamy mówić o prof. Stępnia, więc wracam do Pana pytania o moją pracę. Trochę to za wielkie sło-

wa „działalność literacka” i „praca twórcza”, gdyż moim zawodem było i jest dziennikarstwo. Prawda, że najbliższe mi zawsze były sprawy literackie, ale byłam raczej ich odbiorcą czy menedżerem, jakim jest redaktor. Dziennikarstwo to pisanie „na krótkim oddechu”, to małe formy i nigdy nie próbowałam ani nie miałam ochoty zabierać się do pisania czegoś większego, widocznie czując, że to nie moja dziedzina.

Gdy zaczęłam przed wojną drukować w prasie warszawskiej — pod moim ówczesnym panieńskim nazwiskiem Szurlejówna — wymyśliłam sobie rodzaj, wtedy jeszcze nowy, który nazwałabym „reportażem literackim”. Czasem był to felieton literacki, jak wtedy gdy pisałam sprawozdania sądowe, będąc na prawie. Mało z tego wszystkiego pamiętam, właściwie nie, tylko czasem mi ktoś coś przypomni. I tak dostalam kiedyś wycinek z dziennika „ABC” z 1936 roku z moim reportażem z wizyty studentów prawa w zakładzie dla umysłowo chorych. A niedawno dowiedziałam się, że w książce poświęconej Kuncewiczowej jest mój wywiad z nią; nie znam nawet tytułu tej książki. Robiłam takich wywiadów z pisarzami sporo — z Nalkowską, Choremańskim, Goławczyńską, Boguszewską i innymi. Drukowa-

łam je — a także reportaże z ważniejszych wydarzeń kulturalnych, jak wizyty sławnych artystów w Warszawie, i kilka opowiadań w tygodniku „PROSTO Z MOSTU” pod redakcją Stanisława Piaseckiego. Byłam tam w dobrym towarzystwie, bo współpracownikami byli Jerzy Andrzejewski, K. I. Gałczyński, Jerzy Pietrkiewicz, Bolesław Michalski, Karol Żbyszewski — żeby choć kilku wymienić.

Z końcem 1937 r. wyjechałam do Italii jako korespondent zagraniczny i byłam tam świadkiem paru historycznych wydarzeń, jak wizyta w Rzymie Hitlera, przyjmowanego przez Włochów z teatralną pompą czy wizyta ministra Becka, dzięki której znalazłam się na przyjęciu u Mussoliniego w Palazzo Venezia.

Po powrocie do Polski wyszłam za mąż za artystę Adama Kossowskiego, asystenta warszawskiej ASP, którego poznałam we Włoszech. Wojenne losy rozdzieliły nas i gdy znalazłam się w Paryżu, a potem w Londynie, mało miałam czasu na dziennikarstwo, pracując w Ministerstwie Informacji polskiego rządu na wygnaniu. Zawsze jednak coś pisałam a także omawiałam książki w polskiej sekcji BBC. Dopiero w latach pięćdziesiątych wróciłam

(CIAĞ DALSZY NA STR. 4)

Co nowego w prasie?

Na tytułowe pytanie tej rubryki odpowiedź jest krótka i brzmi: niewiele. Prawie wszystkie czasopisma tygodniowe wydały podwójne numery na święta, i w Nowy Rok odpoczywały.

Pozwólcie więc Czytelnicy, że korzystając z noworocznej czasopiśmienniczej pauzy, zwrócę Waszą uwagę na to, czego w naszej prasie nie ma, lub prawie nie ma, a co w okresie świąt ujawniło się szczególnie wyraźnie. W okresie tym bardzo nasilają się prywatne kontakty z zagranicą: krewni i znajomi przyjeżdżają, telefonują, piszą. Pytają o nowiny, o to, co się w nas dzieje i opowiadają, co o nas mówią i piszą inni. Otóż z wszystkich relacji, które słyszałem lub które mi powtarzano (uzbierało się tego sporo przez święta) wynika, że pisze się źle. W Hiszpanii, Francji, Anglii, USA wzbudziły coraz większe zdziwienie, coraz mniej poważnie nas traktują, coraz częściej irytujemy. Cudzoziemców zdumiał i rozmięszł casus Tymińskiego, zbrzydliły akcenty nacjonalistyczne w kampanii wyborczej. Z dezaprobatą traktują niektóre elementy naszej obecnej obyczajowości politycznej (m. in. odsunięcie gen. Jaruzelskiego od ceremonii przekazania władzy, zamulowanie do symboliki i działań symbolicznych) a także powszechny udział przedstawicieli Kościoła we wszystkich dziedzinach życia publicznego (np. katolicy skądinąd Hiszpanie absolutnie nie mogli pojąć, dlaczego święci się u nas kasy bankowe). Odrębna sfera zarzutów dotyczy życia gospodarczego: jego strony organizacyjnej i prawnej, nieudolności, biurokratyzmu, lenistwa itd.

Otóż w naszej prasie o tych opiniach nie pisze się prawie wcale, pomija się milczeniem zwłaszcza uwagi na temat polityczno-obyczajowe. Pisma kulturalno-społeczne i społeczno-polityczne, jakie w pokaznej liczbie regularnie czytam, milczą, choć przecież inkryminowana problematyka należy jak najbardziej do sfery społecznej kultury.

Nie chodzi mi o narodowe samobiczowanie ani o podsyćcie nerwicowego niepokoju „czy inni nas doceniają”, który to niepokój łączy się zresztą nierozdzielnie z poionocentryzmem. Wydaje się jednak, że rzeczowe informowanie o tym, jak obcy oceniają „nasze społeczne obyczaje nie tylko należy do obowiązków dziennikarskich, ale jest także ze wszech miar pożyteczne. Może bowiem hamować naszą narodową megalomanię i skłaniać do samokrytycyzmu oraz do autorefleksji. Może zatem wywierać istotny wpływ na stan społecznej kultury.

J.L.

W centrum zainteresowania opinii publicznej znajdował się ostatnio Polak, który głosował na Tymińskiego. Co piąty w pierwszej turze wyborów. Ponad trzymilionowa rzesza w drugiej. Szok i wstępne diagnozy mamy już za sobą. Frazes ukuty przez zachodnią prasę, że spauperyzowani Polacy głosowali na marzenia, dość szybko stracił siłę przekonania. Ktoś przypomniał sobie o tych 45 procentach wyborców, którzy w zeszłym roku poparli listę krajową niekoniecznie związaną słowem danym przy okrągłym stole; ktoś inny zadał sobie pytanie, jak wielka była część społeczeństwa stanowiąca realne oparcie dotychczasowej władzy; ktoś inny pojechał do wsi, która zgodnie oddała swe głosy na Tymińskiego, i zobaczył obraz nędzy i beznadziei, o jakiej nikomu się nie śniło.

Być może nigdy się nie dowiemy, skąd naprawdę wziął się Tymiński. Wolno jednak podejrzewać, że przywiodła go tutaj rozumna, ale przewrotna Opatrzność. Jego sukces otreźwił na moment wszystkich i pozwolił dokonać korekty fałszywego (jak się okazało) obrazu społeczeństwa, do jakiego odwoływali się liderzy życia publicznego. Zarówno ci, którzy aktualnie nim kierowali, jak i ci, co zamierzali przejść jego ster. Tymińskiego porównywano już do Nikodema Dyzmy i do bohatera „Rewizora”. Bardziej oczytani widzieli w nim żywą aluzję do książki Koscińskiego „Wystarczy być”. Ale rola, jaką Tymiński odegrał w polskim społeczeństwie, przypomina też tę, którą „człowiekowi z zewnątrz” powierza w swych dramatach Ibsen. Tematem tych

dramatów bywa często zgodnie i na pozór szczęśliwie żyjąca rodzina; nie wolna od zmartwień ale nawiąka do swoich małych niedoli. Nagle zjawia się ktoś nieoczekiwany; dawny znajomy, przyjaciel z dzieciństwa lub tajemniczy obcy. Jego przybycie sprawia, że spokój rodziny zostaje naruszony, zbudowany był bowiem na fałszu lub chorej iluzji. Obcy ujawnia tę prawdę i niszczy powierzchowny ład. Temu oczyszczeniu, które u Ibsena miewa najczęściej charakter moralnie dwuznaczny, towarzyszy ofiara — jak śmierć Jadwigi w „Dziękuję ci”. Oczyszczanie, w dramacie Ibsenowskim postać przybysza jest postacią poważną i uosabiającą moralny dylemat, sam zaś konflikt posiada zabarwienie tragiczne, lub zblizone do wysokiej tronu. Tymiński był postacią groteskową i polski dramat polityczny przybrał kształt tragifarsy. Ale końcowa sytuacja dana w rozwiązaniu jest podobna: urojenie zostało zniszczone i oto stajemy twarzą w twarz z prawdziwym, dużo bardziej przykrzym obrazem rzeczywistości społecznej i samych siebie. Nie istnieje społeczeństwo heroiczne, gotowe do wszelkich poświęceń w imię nieokreślonego dobra publicznego, cechujące się wysokim stopniem świadomości obywatelskiej, względnej jednością interesów i jednolitością moralną. I powiedzmy sobie szczerze: gdyby po 45 latach realnego socjalizmu społeczeństwo miało taką postać, byłoby to największy cud, jaki zdarzył się w historii powszechnej. Toteż jest ono inne: zatamizowane, rozproszone, nawiąka do bezprawia i umiejace czerpać z niego zyski, ogłupione przez lata propagandy i brak dostępu do rzeczowej informacji, skłonne do emocjonalnych skrąjności i nieufne zarazem, żyjące w poczuciu nieustannego zagrożenia. Co nie znaczy, że jest niezdołne do wielkości i że jego naturalne zasoby cnót uległy wyczerpaniu.

Przebieg wyborów i ich rezultat zaowocował wieloma diagnozami. W większości pochopnymi. Jedna z nich mówi o końcu inteligencji, który to skrót oznaczać ma twierdzenie, że inteligencja przestaje być liczącą się społeczną siłą i traci swoją pozycję — przywódczą i opiniotwórczą, jaką od dziesiątków lat zajmowała. I niezależnie od tego, czy rozpoznanie temu towarzyszy rozgoryczenie czy Schadenfreude, przyjmuje się jako coś oczywistego, że mamy do czynienia z sytuacją nową i zaskakującą. Czyli że dotąd współżyła inteligencja z resztą społeczeństwa układała się pomyślnie i harmonijnie, a dopiero krnąbrny populizm zakłócił tę rodzinną sielankę. Tymczasem sytuacja nie jest ani nowa

ani wyjątkowa. To nasze wyobrażenia o przeszłości mają charakter idealizacyjny, a pamięć historyczna dokonuje dowolnej na ogół selekcji faktów.

Dzieje rozbitu między inteligencją a innymi warstwami czy siłami społecznymi są równie długie i barwne jak dzieje ich współdziałania. Po dziś dzień słychać trzask zamykanych okiennic, którym mieszkańcy Warszawy odpowiedzieli na okrzyk „Do bronii!”. Po dziś dzień straszy w lekturach szkolnych obdarty trup powstanieca. Jak pamiętamy — nie przez wroga obdarty. Gdyby w roku 1865 jakaś ówczesna Liga Narodów ogłosiła plebiscyt powszechny, w którym mieszkańcy dawnych ziem polskich miałyby zadeklarować swoją państwową przynależność, jego wyniki mogłyby być przerażające. Kto naprawdę zdaje sobie sprawę z dramatu pozytywistów, którzy usilowali stworzyć nowoczesne społeczeństwo obywatelskie mające przeciwko sobie z jednej strony opór zaborcy, z drugiej — bezwład tradycyjnych wyobrażeń i nawyków, równocześnie zbawienny i paraliżujący. A dziewiętnastowieczny konflikt między „idealizmem”, którego strażniczką mieniła się inteligencja, a brutalną pragmatyką pieniądza, zamacającą wszystkie duchowe hierarchie? A podział narodu zaprojektowany przez stalinowską propagandę, na początku w znacznej mierze uładany? Kim był inteligent, który nie chciał pójść za rzydwanem zwycięskiej rewolucji? Nie wrogiem nawet jak kulak, sabotażysta czy spekulant, lecz prawdziwą mierzwą historii. A gorzkie poczucie izolacji społecznej, jakie miała polska inteligencja w roku 68?

„Mąż opatrznosciowy” czyli o powołaniu inteligencji

Teresa Walas

Nie różnice więc i podziały społeczne są czymś wyjątkowym, lecz ich brak. Ruch „Solidarności”, który znosił te podziały i zacierał różnice, nie mieścił się w standardach prawdopodobieństwa; był zjawiskiem zapierającym dech w piersiach zarówno tym, co w nim uczestniczyli, jak i tym, co obserwowali go z zewnątrz. Dlatego też wstrząsnął gmachem Europy Wschodniej i zapoczątkował rozpad komunistycznego aneien regime'u. Takie jednak zespolenie sił społecznych jest rzadkie i z natury rzeczy krótkotrwałe, jak krótkotrwałe są chwile natchnienia i laski, oraz przejściowe, jak przejściowy bywa zawożczaj każdy stan doskonałej równowagi. O tym zaś, że powrót do rozproszenia i zamętu właściwego życiu jest przykre, wiedzą dobrze poeci i mistycy wszystkich czasów. I my więc będziemy musieli przejść przez to bolesne doświadczenie. Sprostać temu doświadczeniu intelektualnie i uczuciowo — to jest jedno z najważniejszych zadań inteligencji, jakie wyłonili się przed nią w powojennej historii.

Inteligencja, jak każda grupa społeczna, myli się i popełnia błędy. Największe wczasy wtedy, gdy sprzeciwia się swemu powołaniu. Najbardziej zaś pierwotnym powołaniem inteligencji (w tym także intelektualistów) nie jest ani sprawowanie rządu dusz, ani przewodzenie polityczne, lecz rozjaśnianie świata światłem rozumu, pilnowanie czystości pojęć i myślowego rygoru. Z chwilą, gdy intelektualści biorą na siebie odpowiedzialność za władzę, tracą zazwyczaj z oczu odpowiedzialność za prawdę, lub spychają na plan dalszy. Rzeczywistość polityczna narzuca im niekiedy tę rolę, jak narzuciła ją dziesiątka wypadki historyczne. To połączenie jednak nigdy nie kończy się dobrze: wymagania pragmatyki politycznej biorą najczęściej górę nad intelektualnym powołaniem, smutnym zaś rezultatem tych zmagania bywa stan świadomości społecznej.

Wyniki wyborów wzbudziły popłoch i posiały grozę. Zjemy wśród obcych! Społeczeństwo oszalało! Elektorat polski był na pewno bardzo zróżnicowany i wszelkie uogólnienia muszą robić wrażenie ryzykownych. Wśród ludzi wszakże, którzy dokonali zaskakującego wyboru, wielu było zapewne i takich, którzy przestali cokolwiek rozumieć. Nie dlatego, że są w jakiś szczególny sposób ograniczeni, lecz że ich wrażliwość na prawdę została wystawiona na zbyt trudną próbę. Dlatego pamiętamy na chwilę zagrożoną w swych interesach, choć nie tak znowu sfrustrowaną nomenklaturę, ich żony, siostry i szwagry: pomijamy bezpiekę, formację ZOMO do ostatnich swych dni znajdując narybek pośród chłopców naszych wsi i miast. Poświęćmy uwagę temu współobywatelowi, który w osiemdziesiątym roku stał po stronie polskiej bezkrawej rewolucji; trochę ryzykował,

trochę się bał, ale jedno odczucie było dla niego najważniejsze: oto po raz pierwszy w życiu jego płuć bez preszkód wciągały powietrze, świat nabierał realnego wymiaru, słowa zaczęły przylegać do rzeczy. Stan wojenny był dla niego rodzajem ciężkiej choroby. Zdarzyło się coś, co wydawało się już nie do pomyslenia. Coś gorszego niż sama kłeska. Słowa prawdy na powrót uwiezione mu w gardle, zewsząd opływały go najobrzydliwsze i bezkarne kłamstwo. Wysmieiwany i upokorzony odczuwał bezsilną wściekłość jak odczuwa się fizyczną dolegliwość. Co mógł robić? Nosić gazetki? Wypisywać na murach „Wrona skona”? Nienawidzić generała? W gazetkach pisano o nowej Targowicy. Coraz jaśniej budziło się w nim przekonanie, że po raz któryś w historii został zdradzony i sprzedany. Z biura przynosił żonie powstanczą biżuterię wyrabianą w małym warsztaciku przez pana Tadzia i powoli oswajał się z kłeską. Ale topografia jego świata była nadal prosta. Cieszył się, że aktorzy bojkotują telewizję, brał udział w patriotycznych nabożeństwach (choć nie bardzo był pewien swojej wiary), miał świadomość, że żyje w kraju na swój sposób okupowanym.

Oto nagle pojawił się okrągły stół i na dźwentelmeńskiej umowie oparty podział władzy. Nastąpił wielki triumf antykomunistycznej opozycji w wyborach do Sejmu, zwycięzony gorszym widowskiem, jakim był dla naszego bohatera wybór generała na prezydenta Rzeczypospolitej. Od tego momentu przestał rozumieć, o co naprawdę chodzi. Ludzie,

którym ufał, mrugali doń porozumiewawczo z ekranu telewizora i uśmiechali się chytrze, dając do zrozumienia: my głosowaliśmy przeciw. Ale wybrany jednym głosem prezydent był przeciw prezydentem. Stało się jasne, że drogi pragmatyki politycznej i moralności rozchodził się, nikt jednak nie przyznał otwarcie, że tak się dzieje, ani nie wyjaśnił, dlaczego tak się stać musiało. Intelektualiści albo nabrali wody w usta, albo rozmawiali z nim, swoim współobywatelom, jak gęś z prosięciem. Zacierali kontury klarownego dotąd obrazu, przybierali pozę corneilloskie, mówili ze swadą o honorze, o umowach wiążących dźwentelmeńców, dając do zrozumienia, że istnieją regiony wyższych kalkulacji politycznych, którym nie sprostają pospolite umysły. Zamęt w jego głowie jeszcze się powiększył, gdy okazało się, że w imię zasad chrześcijańskiej moralności ma puścić w niepamięć zło, które wyrządzono narodowi. Nie był człowiekiem mściwym i nie chciał, by podano mu na srebrnej tacy głowę Urbana. Ale pragnął jakiegos zażoścuczynienia dla pontżanej po stokroć prawdy. To jego zwykłe poczucie sprawiedliwości zostało uznane za odruch niski i nie liczący z moralnym ładem, na którego straży stały kręgi intelektualne zblizone do rządu. Nasz bohater czuł, że pada ofiarą świadomego mieszania pojęć, że moralność chrześcijańska i czystka polityczna nie mają z sobą nic wspólnego, że niejasną dla niego taktykę polityczną pokrywa się moralnym frazesem. Powziął podejrzenie, że historia znowu toczy się poza nim i że ci, których rozum miał mu oświecać drogę, wymagają od niego zbyt wiele, lub zwyczajnie mają go za głupka.

Tak oto zwykły człowiek, który nie posiadał żadnych własnych koncepcji politycznych, ale chciał zrozumieć, co się wokół niego dzieje, miał prawo poczuć się skolowany i wystawiony do wiatru. W telewizji i na łamach gazet toczyły się dyskusje raczej zaciemniające niż rozjaśniające obraz rzeczywistości, a kampania wyborcza pogłębiła w sposób przerażający ten chaos pojęć. Poszły w ruch fiktywne stare i nowe, których treść nie zawsze rozumieją ich użytkownicy, co zaś dopiero przyglądająca się spektaklowi publiczność. Politycy i intelektualiści zabawiali się w swoim gronie, widzom i czytelnikom pozostawiając do rozstrzygnięcia kwestię, czy Turowicz jest masonem a Michnik kryptolewicą. Lub znaczenie prostszą: kim są masoni i co oznacza słowo „kryptolewica”. Nikomu nie chciało się polemizować z tezą, że Mazowiecki jest katolickim lewakiem, który zblizował się z czerwonymi, Balcerowicz zaś agentem CIA, zamierzającym sprzedać Polskę Amerykanom.

Za ten grzech pychy i zlekceważenie swego powołania inteligencja polska otrzymała nauczkę. Nie znaczy to jednak, że czas jej minął. Byłe zechciała czynić swoją powinność.

MIĘDZY UTOPIAMI

runą trony? Sytuuje się zatem poza aktualnym układem i grą sił. Ta eksterytorialność utawia mu głoszenie utopii, zrodzonej w wyobraźni marzyciela. W imię szczęśliwej krainy, dokąd ulatuje jego serce, przeklinając dziny ziemski padół. Co jest, zostanie więc potępione z żarliwością mnicha, odrzucającego królestwo ziemskie w imię królestwa niebieskiego.

Oto świat grzechu i świat doskonałości. Dla konserwatywy, ucznia Burke'a, instytucje przez sam fakt długotrwałego istnienia są godne szacunku i zachowania. Tutaj są one godne wzgardy właśnie dlatego, iż oto istnieją. Skoro bieg dziejów został wstrzymany sztucznie przez ludzi przeszłości, któż nie chciałby przyłożyć ręki do zerwania łańcuchów.

Więzień, kajdany, łańcuchy, pęta, oto najczystszy repertuar obrazów poetyckich epoki od Byrona do Mickiewicza. Przemoc (despotyzm) krępuje tutaj wolność jednostki, tłumi jej aspiracje, zamyka w murach, ogranicza ekspansję. Inna paralelna seria, to obraz skutek jeszcze łodem, ale budzącej się do życia wiosennego rzeki, ale jak gwałtowna wiosna nastąpi po zimie, tak dzieje ludzkości nieuchronnie doprowadzą do wyzwolenia ludów.

Hegel niewątpliwie patronuje pokoleniu, obiecuje konieczne i nieublagane zbawienie tym, co kroczy z duchem dziejów, a równie konieczne potępienie chcącym błąd dziejów zatrzymać. A więc królom i despotom?

Poezja romantyczna wsiadła na ten wózek i jechała na nim co najmniej przez stulecie. Wielokrotnie wskazywano na romantyzm jako na ekspresję młodości. Dla nas, czytelników Mickiewiczowskiej *Ody* czy Mickiewiczowskiej *Romantyczności* wydaje się to tak oczywiste, że zapominamy jak było powszechne. Ale literacka eksplozja młodości wiąże się jak najściślej z nowym fenomenem europejskiej kultury u progu XIX wieku, a mianowicie ze wzrastającą rolą uniwersytetów. Zwłaszcza w Europie środkowej. Na nowy ład reorganizowane państwa absolutyzmu oświeconego (restauracja oznacza wyciągnięcie do pewnego stopnia wniosków z kateklizmu rewolucyjnego) potrzebują bowiem tysięcy wysoko wykwalfikowanych urzędników.

Otwiera się więc pole kariery dla młodzieży różnego pochodzenia społecznego, często takiej, której właśnie tylko zdobycie wykształcenia gwarantowało tej kariery szansę. W Rosji lat 40. takich ludzi określano jako „roznoczników”. Środowisko uniwersyteckie, zorientowane nie tylko jak dawniej, na półmąrtwą erudycję starożytną i karierę kościelną, stało się zwłaszcza w Niemczech i na wschodzie Europy nowym terenem dla literatury. Przed rewolucją literatura i „sztuki piękne” rozkwitły u dworu, wreszcie w salonach przydworskich. Teraz odbiorcą, ale i twórcą będą kręgi uniwersyteckie.

Uniwersytet staje się zatem naturalną niszą ekologiczną uprawiania literatury. Obok coraz liczniejszych czytelników sentymentalnych romanistów, pasjonuje się nią grono wileńskich filaretów i filomatów, jenajskich, ryńskich, czy dorpackich burszów, wreszcie moskiewskich współorganizatorów studenckich kółek samokształceniowych („kruski”). Na tej społecznie przemieszanej i zróżnicowanej glebie łatwiej wyrastały postawy kontestatorskie niż wśród ludzi już ustabilizowanych, ojców rodzin wpłatanych w ustalony ład państwowej służby lub synów rodzin arystokratycznych. Zaś model uniwersytetu, który rozprzestrzenił się w Europie środkowej to model Humboldta, powstały wie wczesniej, dość liberalnej fazy rozwoju pruskiej państwowości (reformy von Steina). Inaczej nieco było — na początku wieku — we Francji, gdzie *Universite imperiale* (1806) narzuca

dek, w imię przyszłego braterstwa wolnych od tyranii ludów. Obróncom status quo przypadła zgola niebohatera rola dworskich pochlebców lub policyjnych agentów. Bułharyn w Rosji, Rzewuski w Polsce, Kotzebue w Niemczech, wreszcie uporczywie bezinteresowny wielbiciel legitymizmu, dziwak Joseph de Maistre, wśród setek zapomnianych...

Powojenny profeta etosu lewicy w literaturze, Jean Paul Sartre sądzi, że dzieło z racji wolności jaką powołuje i w autorze, i w czytelniku, stanowi zwierciadło obnażające wszelkie fałszywe zniewolenia. Tym samym jest, chcąc czy nie chcąc, projektem demaskatorskim, podającym w wątpliwość zafałszowaną pewność siebie każdej zbiorowości. Przejrząwszy się w prawdzie zbiorowości ta musi co najmniej przyznać się do swoich lądactw czyli

grzechem, bo jest zaślepieniem. Teraz droga do nawrócenia (czytaj: rewolucyjnej przemiany) stoł otworem. Poprzez skruchę i postanowienie poprawy obiekamy nowego człowieka i zaczynamy żyć w doskonałości czyli budujemy zręby nowego wspólnego świata (czytaj: komunizmu)...

Ten religijny podkład etosu lewicy być może wyjaśnia jego szczególną siłą przyciągania. Zwłaszcza „najszlachetniejsza młodzież” wydaje się przez kilka pokoleń tym etosem zafascynowana. Oto bohaterzy nie tylko „*Piomieni*” Brzozowskiego, ale i Malraux czy Camusa. Rzeczywiście, stąd zapewne biorą się „rodowody niepokornych”. Co więcej, zło świata wydaje się łatwie do wyeliminowania, skoro zidentyfikowaliśmy szatana — jest nim wadliwy ustroj społeczny, „nieprawdliwy świat” jak sądzili Victor Hugo, ale i Musset. Padający pod ciosem spiskowca-królóbójcy (Kordiana, Lorenzaccio) tyran otwiera drogę do „stawy grodu”? Z czasem owego jednostkowego bohatera-królóbójcę zastąpi zorganizowana awangarda proletariatu, szycująca się do zadania ciosu w serce między-narodowemu imperializmowi...

Interesująca jest jednak także niezbyt trwała ale intrygująco częsta symbioza literackiej i artystycznej awangardy z rewolucyjną utopią. Łamiący normy twórcy upodobania się poniekąd do burzącego mury starego świata rewolucjonisty. Wolność pierwszego kojarzy się z „wolnością” drugiego. Podkład anarchiczny sztuki współczesnej, podającej się za trans-agresję porządku a nie za jego afirmację, za wyzwanie ustalonomu ładowi, a nie za tego ładu doskonalenie, na pewno popycha tę sztukę w ramiona wszelkiego typu kontestatorów, także politycznych i społecznych. Pokrewieństwa z wyboru?

Szczególnym wariantem tej postawy jest kontestacja o-swojona, gdy zadowolić potrafimy i rzeczników rewolucji, i obrońców establishmentu, dając obu stronom atropę tego, czego pragną. Nie jest to wynalazek nowy, już *Cyganeria* Murgera stanowiła wyzwanie normom obyczajowym czasów Ludwika Filipa, które jednak okazywało się wyzwaniem pozornym. Naruszony porządek wracał do normy, owo naruszenie okazywało się tylko wysoko-kim, potwierdzającym nie-naruszalność fundamentów społecznego świata. Podobnie obronie principiów społeczne-go porządku dopuszczających „ekscesy”, ale nie zmianę reguł, poświęcił Dumas-syn „*Dame Kameliową*”.

czy etos literatury rzeczywiście podsuwa jej „rewolucyjne” pokrewieństwa z wyborem, czy dzisiejsi nie mielibyśmy już stawić ta-

du świata natury i ładu świata społecznego jak czynili to jeszcze klasyki? Czy pisarstwo wyrasta z pięknie i szczylin gładkiego układu, ze szpar i zadziorów?

Dawniej sądzono, że skoro Bóg stworzył świat doskonały, na pewno jego aktualny kształt odzwierciedla tę pierwotną doskonałość. Dział nawet chrześcijanin nie tai wątpliwości czy to, co jawi się jego oczom jest doskonałym dziełem Stwórcy czy parodią i przedrzeźnianiem. Człowiek zły nasiał bowiem kłakolu tam, gdzie posiano dobre ziarno i wyrasta przed nami szczególna plałtanina, której nie sposób powitać pogodnym hymnem uwielbienia. Ale sedno tkwi gdzieś indziej, literatura (zgodnie z kazaniem na Górze) ma powinność „bronić uciśnionych”, stawać po stronie tych, co przegrali, nie tych, co odnieśli sukces.

Etos lewicy wyrosły z rewolucji i Oświecenia opiera się na innym fundamencie, obrona „uciśnionych i poniżonych” jest w jego perspektywie tylko sui generis wymówką — pretekstem — dla całkowitego i definitywnego zbawienia świata skuteczniej i lepiej niż mógłby to uczynić sam Stwórca. Prometeizm tego etosu jest rzeczywiście deklaracją non serviam: zbudujecie doskonalszy świat niż Pan Zastępów.

Niewygody tego typu utopii wydają się dziś w kręgu europejskiej kultury oczywiste, ale nie należy sądzić, że już czeka nas całkowity brak udręceń. Chmury pojawiające się na dość wprawdzie odległym horyzoncie to chmury obfitości. Gradobicie, które przyniosą, zniszczy maszą tożsamość być może nie gorzej niż wszelkie totalitarny.

Utopia sytości, palmowego rajz z perspektyw biura podróży, szczęśliwej Arkadii i wiecznej konsumpcji młodości w supernowoczesnym boeingu, unoszącym nas donikąd równie skutecznie, jak usiłowania strażników rewolucji wypłora mózgi z wszelkich niestereotypowych zachcianek?

Koniec historii: czyli nadzieja, że nastąpi czas realizacji wszystkich pragnień, obok wersji, którą znamy ze słów pieśni „*Ja drugiej takój strany nie znam, gdzie tak wolno dyszyt człowiek*”, ma bowiem także wersję „kapitalistyczną”; wystarczy przedrzeć prospekty reklamowe, by znaleźć się w owym świecie spełnionych marzeń.

Oczywiście, rozumiem dość istotną różnicę, między kijem popędzającym do krajny szczęśliwości w jednym i marchewką neccą w kierunku różowej utopii w drugim wypadku. Tym niemniej miraż konsumpcyjny są również sul generis rajską wizją, oferowaną zamiast gorzkiej wiedzy o świecie. Odurzeniem, którego nie znali nasi przodkowie, budujący przecież zręby nowoczesnego świata wolnorynkowego, ale świadomi „potu i łez”, którzy mieli przyjdzie im zapłacić za wyrwane żywiołowi przyrody półko cywilizacji.

Ian Prokop

Wisława Szymborska UTOPIA

Wyspa, na której wszystkie się wyjaśnia.
Tu można stanąć na gruncie dowodów.
Nie ma dróg innych oprócz drogi dojścia.
Krzaki aż uginają się od odpowiedzi.

Rośnie tu drzewo Ślusznego Domysłu
o rozkwitłych odwiecznie gałęziach.

Olsniwając prosie drzewo Zrozumienia
przy źródle, co się zwie Ach Węgię To Tak.

Im dalej w las, tym szerzej się otwiera
Dolina Oczywistości.

Jeśli jakieś zwątpienie, to wiatr je rozwiewa.

Echo bez wywołania głos zabiera
i wyjaśnia ochoczo tajemnice światów.

W prawo jaskinia, w której leży sena,
W lewo jezioro Głębokiego Przekonania.
Z dna odrywa się prawda i lekko na wierzch wypływa.

Góruje nad doliną Pewność Niewzruszona.
Ze szczytu jej rozłacza się Istota Rzeczy.
Mimo powabów wyspa jest bezлюдna,
a widoczne po brzegach drobne ślady stóp
bez wyjątku zwrócone są w kierunku morza.
Jak gdyby tylko odchodząco stąd
i bepowrotnie zanurzano się w topieli.

W życiu nie do pojęcia.

(wiersz pochodzi z tomu „Wielka liczba”

Czytelnik, Warszawa 1976)

ostrą dyscyplinę studentowi wychowywanemu w duchu absolutnego postuszeństwa władzy cesarza. „*Uniwersytecki Pugaczew*”, którego tak obawiał się Joseph de Maistre miał większe szanse pojawić się zatem w Aleksandrowskiej Rosji, „zdeprawowanej” przez niemieckie wpływy niż w Paryżu.

Do czego prowadzą? Otóż wszystkie uroki szlachetności, powaby walki w obronie uciśnionych i przesładowanych lokowały się po stronie tych, co prometejsko kwestionowali ustalony porzą-

wytworzyć „*conscience malheureuse*” — sumienie pełne wyrzutów — albo przemienić się wewnętrznie jako nawrócony grzesznik. Dzieło bowiem nie dopuszcza samousprawiedliwień, jest bezlitosne w żądaniu bezwzględnej prawdy. Jest więc projektem fundamentalnej odnowy świata. Czyli rewolucji.

Schemat Sartre'a w gruncie rzeczy powtarza dość wiernie model religijny. Grzesznik winien zdać sobie sprawę ze stanu upadku, w jakim się znajduje. Przyznanie się do grzechów ratuje go od samozadowolenia, które jest właśnie najcięższym

Kto co czyta?

LECH ATILLA JAMROZIK — artysta plastyk:

Po emocjach wyborczych, które mnie bardzo absorbowaly i emocjonowały zabrałem się do odrabiania zaległości w lekturach. Zafascynowany osobowością wspaniałego człowieka, jakim jest „kurier z Warszawy” JAN NOWAK-JEZIORAŃSKI, czytam teraz jego „*WOJNE W ETERZE*”. Ta świetnie napisana książka uzupełnia obraz najnowszej historii Polski o nowe elementy, znane nam dotąd z nie-

pełnych i często mało wiarygodnych źródeł. Spełnia ona moje oczekiwania jako czytelnika zainteresowanego historią i polityką.

ELŻBIETA ZECHENTER-SPLAWIŃSKA — poetka:

Z prasy: „Gazetę Wyborczą”, „Gazetę Krakowską”, „*Elitę*”, *Tygodnik Powszechny*”, „*Res Publicę*”, „*Arkę*”. Do niedawna „*Czas*”, ale mnie „zniesmaczył” w okresie przedwyborczym i „*Dziennik Polski*”, ale ten z kolei bardzo mnie znudził. Z literatury obcej przekłady BELLOWA, WHITE'A, VONNEGUTA, MARQUEZA (przepych jego stylu przypra-

wia o zawrót głowy). Z polskich pisarzy: KONWICKIEGO i FILIPOWICZA (z zadziwiająco oszczędnością wypowiedzi, przeźroczystym językiem podporządkowanym treści). Najchętniej jednak biorę do ręki książki poetyckie. Gdybym musiała pojechać na wyspę bezлюдną i wolno mi było zabrać twory jednego tylko pisarza, spakowałabym tomlki WISŁAWY SZYMBORSKIEJ, których lektura jest mi potrzebna

do życia. Wysoko cenę Herberta (wyżej niż MIŁOSZA), wracam wciąż do LESMIANA, JASNORZEWSKIEJ, POŚWIATOWSKIEJ. Czytuję na bieżąco wiele wierszy i prozy w maszynopisach. Są to utwory najmłodszych. Ostatnio przedstawiłam na łamach „*Elity*” fragment ciekawej prozy KATARZYNY TURAJ-KALIŃSKIEJ (debiutowała tomem wierszy: „*Klasztor żeński*”, W.L. 1988).

O „WIADOMOŚCIACH LITERACKICH” i nie tylko...

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

do pracy dziennikarskiej w pismach emigracyjnych i w Radiu Wolna Europa od chwili jego powstania. Zapewne dlatego znalazłam się swego czasu na krajowej „czarnej liście cenzury”. Najwięcej pisałam do „WIADOMOŚCI” gdzie miałam m. in. stałą rubrykę pt. „W Londynie”, którą podpisywałam Big Ben. Wybór z tego, co wtedy pisałam tam i gdzie indziej znalazł się w dwóch książkach: „Mieszkam w Londynie” (1964) i „Jak cię widzę tak cię piszę” (1973).

— Jak wyglądały ostatnie lata stynny „WIADOMOŚCI”, których pierwszym redaktorem był Grydzewski? Czy i dlaczego pismo nie mogło przetrwać do dziś?

— Jest to za obszerne pytanie, bym mogła na nie odpowiedzieć w ramach naszej rozmowy. Więc postaram się powiedzieć to, co najważniejsze, choć boję się, że i tego może być za dużo.

Red. Grydzewski zachorował z końcem 1966 roku i po drugim udarze mózgu, aż do śmierci w styczniu 1970, przebywał w zakładzie, niezdolny do zajmowania się piśmem. Oboje z mężem byliśmy z nim w bliskiej przyjaźni i choć nie lubiłam się zwierzać, z rozmów z nim łatwo było domyślić się, że liczył na to, że pismo skończy się razem z nim. Ale pod naciskiem paru przyjaciół — nie moim! — zgodził się, by pismo trwało i powierzył je 4 powiernikom („Trust”), do którego to zespołu i ja należałam. Znaleźliśmy doskonałego kandydata, Michała Chmielowca, który jako „zastępca” — o „następcy” nie mówiło się, dopóki żył Grydzewski — prowadził pismo dalej. Grydzewski, choć jeszcze przez jakiś czas pisał swoją rubrykę „Silva rerum”, NIGDY nie otworzył „WIADOMOŚCI”, gdy mu je przynoszone wprost spod prasy każdego tygodnia.

Chmielowiec po dwóch latach zaczął poważnie chorować i przyszła chwila, gdy musiałam go dosłownie z dnia na dzień zastąpić, aby pismo od razu nie przestało wychodzić. Innego kandydata nie było. Myślałam, że to zastępstwo będzie na krótko, niestety Chmielowiec coraz częściej i na coraz dłużej szedł do szpitala i praktycznie przestał pracować już w roku 1973, ale dopiero po jego śmierci, na wiosnę 1974, przyjął tytuł redaktora.

Dlaczego pismo nie przetrwało? Wśród innych powodów — o konieczności zamknięcia pisma zdecydowała w dużej mierze nienaturalna sytuacja jednoosobowej redakcji. Z podziwem i z zazdrością czytam w pismach krajowych długie listy pracowników piśm. W „WIADOMOŚCIACH” była zawsze — nie tylko za Grydzewskiego, ale i po nim — tylko jedna osoba. Z Chmielowcem nie byliśmy ani jednego dnia razem w redakcji. On szedł do szpitala, ja do redakcji; on wracał — ja znikałam. Nigdy nie było czasu, by przekazać sobie bieżącą pracę, ale oboje szanowaliśmy, co poprzednik postanowił — i jak się szło. W „WIADOMOŚCIACH” ani za przedwojennych czasów w Warszawie, ani w Londynie nie było żadnych komitetów redakcyjnych, żadnych doradców, żadnych pracowników, poza jedną sekretarką, w niektórych okresach tylko na pół dnia. Gdy przygotowywałam np. przez większą część 1973 roku numer jubileuszowy na 50-lecie „WIADOMOŚCI” — budziłam się w nocy z przerażeniem, że jeśli mi się coś stanie, jeśli zachoruję, numer się nie ukáže, bo absolutnie nikt nie wiedział, co i jak ma w nim być. Cała koncepcja i całe wykonanie, również techniczne — a musi pan wiedzieć, że gdyby zawartość numeru ukazała się w książce, to ktoś obliczył, że liczyłaby ponad 300 stron! — każde zdanie, każda najmniejsza linijka tekstu były tylko w mojej głowie. Może kiedyś zdążyę opisać sagę powstania tego numeru, łącznie z korespondencją z dziełkami pisarzy w kraju i za granicą — bo zwróciłam się do żyjących przedwojennych współpracowników piśma również w kraju, z których wielu wzięło udział w jubileuszowej ankiecie.

Muszę się panu nieskromnie przyznać, że jestem bardzo dumna z tego numeru — i z przyjęcia go, m. in. przez Antoniego Slonimskiego, który pierwszy go dostał w Polsce i potem mi opowiadał, jak ten numer krążył po Warszawie, podawany z ręki do ręki. Przepraszam za tę dygresję i wracam do wyjaśnienia, dlaczego „WIADOMOŚCI” nie mogły trwać dłużej. Choć może słuszniej byłoby się dziwić, że trwały tak długo! I na pewno za długo dla mnie. O znalezieniu pomocników czy następców nie było mowy — to znów osobny temat — a ja po prostu nie mogłam już dłużej pracować po kilkanaście — bez przesady — godzin na dobę. Podobnie zresztą jak pracował Grydzewski, ale skutki jego przepracowania nie były zbyt zachęcające. Może byłabym ciągnęła jeszcze rok czy dwa, gdyby nie dramatyczna w naszych okolicznościach utrata lokalu z powodu zamierzonej przebudowy części dzielnicy. Przy notorycznym braku pieniędzy — „WIADOMOŚCI” nie miały żadnej subwencji, jedynym ich dochodem była prenumerata i od czasu do czasu jakiś dar, pracowało się w nich niemal

— Podczas swojego pobytu w Londynie zwrócił się do mnie red. Paweł Kądziała z propozycją wydania w „WIEZI” moich wspomnień o ludziach, których znałam na emigracji. Książka ta pt. „Galeria przodków” ma się ukazać w Warszawie — nie umiem panu powiedzieć, kiedy. Przyuszczam, że jest to zależne od wydawniczych warunków w kraju, które wiem — nie są łatwe. Przygotowuję też dla wydawnictwa emigracyjnego książkę o dorocznej nagrodzie „WIADOMOŚCI”, przyznawanej od 1958 roku.

— Czy „SRODA LITERACKA”, dodatek do londyńskiego „DZIENNIKA POLSKIEGO”, będący — jak mi się zdaje — próbą kontynuowania przez Panią tradycji „WIADOMOŚCI”, ma szansę przekształcenia się w samodzielne pismo literackie? Do jakiego odbiorcy trafia i kto w nim publikuje?

— „SRODA LITERACKA” nie ma żadnych innych ambicji ani możliwości, by być czymś innym niż skromnym — dwie stroniczki raz na miesiąc — dodatkiem do popularnego „DZIENNIKA POLSKIEGO”, w którym trzeba się liczyć z zainteresowaniami jego czytelników. Oczywiście staram się o poziom literacki, co nie zawsze jest łatwe, choćby dlatego, że polscy autorzy nie lubią pisać krótko a tu nie ma miejsca na więcej niż 4–5 stron pisma maszynowego. Udało mi się jednak mieć teksty Iwanuśki, Danuty Mostwin, Tadeusza Nowakowskiego, poetów — Anny Frajlich, Henryka Grynberga, dawniej — Łobodowskiego. Nie mówiąc o pana piek-

propagandę w kraju — nie było mowy o jakiejś fuzji czy nawet luźnej współpracy.

Dokąd byli zamknięci w kraju, chętnie nawiązywali kontakt z pismami emigracyjnymi. W ostatnich latach „WIADOMOŚCI” drukowała wiele utworów, zwłaszcza młodych poetów — później dobrze znanych — którzy po kryjomu przysyłały je z kraju, często pod pseudonimem. Ci, którzy później znaleźli się za granicą i zaczęli zakładać pisma, zamknęli się w swoim ścisłym kręgu, te same nazwiska zjawiały się w każdym numerze, bo nie dopuszczają do współpracy nawet swoich rówieśników, którzy zwinili tym tylko, że o kilka czy kilkanaście lat wcześniej znaleźli się poza krajem. Jakże więc mówić o współpracy starszych pisarzy emigracyjnych — nawet jeśli by dużo jeszcze ich było i miało ochotę drukować w nowych pismach, które nie mogą wyjść poza Gombrowicza i Miłosza, i nie interesują się tym, co w innych krajach dziś się pisze?

— Co sądzi Pani o współczesnej literaturze powstającej w ostatnich dekadach w kraju? Jakże — według Pani — zjawiska godne są bacniejszej uwagi?

— Choć dużo czytam i zawsze czytałam pisarzy krajowych, była to jednak zawsze lektura selektywna — albo dostawałam, albo sama wybierałam książki uznane za najlepsze czy najciekawsze. Trudno więc wygłaszać jakieś ogólne zdanie, jeśli z tym, co powstaje, co się ukazuje, nie żyje się na co dzień.

Mam oczywiście swoich ulubionych pisarzy — nie lubię tego określenia, ale trudno mi znaleźć w tej chwili inne — z Konwickim na czele; z młodszych bardzo cenię Marka Nowakowskiego, a ostatnim moim odkryciem był Paweł Huelle.

— Jak Pani sądzi, czy w związku z przemianami demokratycznymi w Polsce, likwidacją cenzury itp. nasza literatura, zarówno krajowa, jak i emigracyjna, nie straciła głównego „antagonisty”? Czy kryteria polityczne, tematyka obrachunkowa zastąpią być może wyborami estetycznymi?

— Nie bardzo wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie. Czy zgadywać, co będzie czy powiedzieć co chciałabym by było? Nie mam zaufania do przepowiedni, żadna się nie sprawdziła za mojego życia. Więc zamiast wpatrywać się w szklaną kulę, wolę powiedzieć, że bardzo bym chciała, by nasza literatura przestała być obsesyjna.

Pół wieku to może dość na rozprawianie się ze swym losem, i czas, by oderwać się od przeszłości, dawnej i niedawnej. Nie widzę dotąd książek — w prozie i poezji — które by się jej kurczowo nie trzymały. Żyjemy w rozgorączkowanym świecie, który przetraca się do góry nogami, w którym nie można nadażyć wydarzeniom i zmianom, a my wciąż tylko swoje i cudze cierpienia ostatniego półwiecza, zaginione dzieciństwa lub w najlepszym razie ucieczka w historię... No i polityka...

To nie moja obojętność, zapewniam pana, jestem z tym wszystkim najściślej uczuciowo związana. Ale ta wyłączność tematyczna za długo trwa i uniemożliwia nam wejście do literatury światowej. Staralam się kiedyś namówić angielskiego wydawcę, zycielwie nastawionego do Polski, żeby wydał pewną dobrą współczesną powieść. Przeczytał, pochwalił przekład i oddał maszynopis. „Tego żaden cudzoziemiec nie będzie chciał czytać. Te wasze wszystkie aluzje, te tajemnicze odniesienia... Piszcie o zwyczajnym człowieku. Zapomnijcie na chwilę o historii!”

Pamiętam podobną reakcję z mojej wczesnej młodości. W dwudziestolecie niepodległości było jeszcze trochę powstańców z 1863 r., nawet widywało się ich na uroczystościach wojskowych. Ale nikt nie pisał o ich walkach i klęskach ani o latach niewoli. Pod ławką szkolną czytaliśmy „WRÓBLE NA DACHU” Wierzyńskiego a nie Żeromskiego.

I nawet patetyczny Lechoń westchnął: „A wiosną — niechaj wiosną, nie Polskę zobaczą”.

Rozmawiał

Krzysztof Lisowski

(Londyn — Kraków, 1990)



Stefania Kossowska, Londyn 1989.

Fot. E. WOJTCZAK

za darmo, a honoraria autorskie były raczej symboliczne — nie było mowy o znalezieniu innego lokalu, zwłaszcza przy nowych cenach.

Zlikwidowanie piśma po 57 latach istnienia nie było łatwą decyzją, zwłaszcza że tak autorzy jak i czytelnicy podnieśli wielki krzyk protestu. Jedyne moralne pomoc znajdowałam w słowach red. Grydzewskiego — wypowiedzianych i zanotowanych kiedyś w czasie jego choroby — że chciałby, by „WIADOMOŚCI” zakończyły się honorowo. Z końcem 1980 i na wiosnę 1981, gdy ukazał się ostatni numer, żyło jeszcze wielu ważnych autorów piśma i dzięki nim — myślę, że ten numer był „honorowym” końcem.

— Ale nie powiedziałabym całej prawdy, gdybym tu nie wspomniała o pewnym osobistym względzie, o moim poczuciu — które spełniło się później, niż spodziewaliśmy się wtedy, wiosną 1981 — że przyszedł czas, by kończyć stare i zaczynać nowe.

— Zdążyłam zauważyć, że nawiązała Pani kontakty z pismami krajowymi (mam tu na myśli piękne wspomnienie o śmierci Kazimierza Wierzyńskiego publikowane w „WIEZI”). Czy zamierza Pani opublikować swoje piśma w Polsce w formie książkowej?

nych wierszach i wspomnieniu o Adamie Włodku!

— Po grudniu 1981 powstało wiele periodyków nowej generacji polskich emigrantów. Czy współpracują z nimi pisarze z emigracji „wojennej”? Czy możliwe jest powstanie piśma międzypokoleniowego?

— Zaczęło od końca pańskiego pytania, odpowiadając na nie krótko — NIE. Nie ma żadnej szansy na powstanie piśma międzypokoleniowego. Piśmo takie jest możliwe w normalnych warunkach kontynuacji, gdy młodzi powoli wchodzi w istniejące piśma czy instytucje, które z czasem przemieniają się według własnych, nowych formuł. Na emigracji po pokoleniu ludzi piszących, urodzonych przed wojną, z którego zostały niedobitki — nie było następnego. Luka. Nawet ci z młodych, urodzonych za granicą, którzy mówili po polsku — nie czytali, nie pisali i nie chcieli ani nie mogli, jak ich poprzednicy, pracować prawie za darmo, bo musieli organizować sobie życie i zapewnić byt swoim rodzinom. To też wyjaśnia fakt, o którym wcześniej wspominałam — że nie było można znaleźć nikogo do redagowania „WIADOMOŚCI” po Grydzewskim i Chmielowcu. Gdy na emigracji zjawili się młodzi z kraju, wychowani w zupełnie innej kulturze — włączam w to słowo poglądy we wszystkich dziedzinach, a także zwykła u młodych niechęć do starszego pokolenia, w tym wypadku spotęgowaną, choć nieraz sobie tego nie uświadamiali, przez dawną antyemigracyjną

Wyzwanie „Szatańskich wersetów”

Krzysztof Biedrzycki

Na początku zstąpił archanioł: Gibreel przybył z niebios na pokładzie samolotu, który runął na ziemię u wybrzeży Wielkiej Brytanii. Samolot nazywał się „Boston”, tak jak jeden z rajów muzułmańskich. Gibreel Farishta, gwiazdor indyjskich filmów „teologicznych”, przeżył katastrofę, przeskokowi własną śmierć, narodził się na nowo.

Bohaterami „SZATAŃSKICH WERSETÓW” SALMANA RUSHDIEGO są dwaj aktorzy: wspomniany Gibreel oraz Saladin Chameha. Ich losy, tyleż paralelne, co kontrastowe, stanowią ośnię powieści. Obaj urodzili się w Bombaju, o ile jednak pierwszy zrobił karierę w Indiach, drugi, studiując w Londynie, zdecydował tam pozostać na stałe. Gibreel wcześniej utracił ojca, wychowywał go bogaty opiekun. Saladin swego surowego ojca sam opuścił, by w finale — niczym syn marnotrawny — powrócić ze skruchą do łona jego śmierci. Obydwaj spotkali się dopiero na pokładzie „Bostonu”, który porwany przez terrorystów, rozbił się na brzegu kanału La Manche. Obaj byli jedynymi pasażerami, którzy ocalili.

Katastrofa jest punktem wyjścia akcji powieści. W planie realistycznym wszystko od niej się zaczyna. Lecz przecież „SZATAŃSKIE WERSETY” to ciągła oscylacja między realnością a snem, między dosłownym opisem a metaforą, między naturalizmem a fantazją. Dlatego wyjściowa katastrofa lotnicza pełni w powieści wieloraką funkcję — symboliczną (zstąpienie archanioła, upadek i rozbięcie raju), psychologiczną (przełom w życiu bohaterów), kompozycyjną (katastrofa lotnicza zapowiada opis katastrofy całego świata).

Nade wszystko zaś jest ona początkiem szaleństwa bohaterów, którego studium będzie stanowiła powieść. Lecz nie studium psychiatryczne, nawet spodziewanej psychoanalizy będzie tam niewiele, studium — teologiczne. Oszałeli nie tylko Gibreel i Saladin, oszałali świat. Obaj mężczyźni nie potrafili się odnaleźć po swoich powrotnych narodzinach. Nie są już zwykłymi ludźmi, Gibreel — zgodnie ze swym imieniem — czuje się posłanym Bożym, archaniołem, Saladin przeżywa dosłowną, fizyczną metamorfozę w diabła. Lecz wkrótce ich role ulegają odwróceniu: pierwszego opanowuje rozpacz, swój bunt przeciwko światu wyraża w zbrodni, drugi podlega oczyszczeniu, odzyskuje swe ciało, moralnie odradza się, czuwając przy umierającym ojcu.

Konsekwentnie przez Rushdiego prowadzone paralele między losami obu bohaterów niekiedy nużą. Nadają jednak sens tej okrutnej i rozpaczliwej opowieści o wykorzenieniu, o utracie wszelkich wiar, ale też o tęsknocie za powrotem. „SZATAŃSKIE WERSETY” stanowią powieść Hindusa, który w porzuconych Indiach nie czuje się już u siebie, ale równocześnie obcy pozostaje na lodowato obojętnym Zachodzie. Gibreel i Saladin to nie dwóch różnych mężczyzn, to dwa możliwe losy tego samego człowieka. Rushdie analizuje konsekwencje wyboru różnych dróg życiowych: pozostanie w kraju — emigracja. Obie kończą się taką samą klęską. Symboliczną rolę odgrywa tu motyw śmierci ojca. Tradycja i tak umarła, powrót, ponowne zakorzenienie są iluzją.

W tym punkcie dochodzi do najostrzejszego ataku pisarza. Ataku na jego własną tradycję, która stanowi główny kontekst jego mentalności i wyobraźni, na islam. Przedstawiony wyżej zarys akcji powieści to tylko jej główny zrąb. Równolegle prowadzone są fabuły dwu autonomicznych opowiadań: o pełnej wątpliwości rozmowie Proroka z Archaniołem-Szatanem, który dyktuje nowe (tytułowe) werseły, a także o nawiedzanej dziewczynie, prowadzącej ludność pewnego miasteczka w pielgrzymce do Czarnego Kamienia, która to pielgrzymka kończy się zbiorową topielą patników w odmętach morskich. Fragmenty te należą do najpiękniejszych w powieści, odwołania do Koranu są tu najbardziej wyrażne. A równocześnie tutaj dochodzi do jawnego buntu (błuznierstwa?). Rushdie oskarża islam, że jest religią zniewolenia, religią fanatyzmu, religią przeciwną rozumowi. Szczególnie wyraźnie ilustruje to, skądinąd wspinał literacko, finał drugiej opowieści, gdy Ayesha (owa nawiedzona dziewczeczka) prowadzi pielgrzymów w głąb morza, obiecując im cud, przejście suchą stopą wszystkich, którzy tylko uwierzą; ci, którzy toną, są przekonani, że to ich wina, gdyż wciąż jeszcze pograżeni są w zwątpieniu. Tak mocnych ekspresywnie fragmentów antyreligijnych niewiele jest w światowej literaturze.

Leczatak Rushdiego na tym się nie wyczerpuje. Równie gwałtownie skierowany jest na bezduszną, materialistyczną, skomercjalizowaną cywilizację Zachodu. Tak jak ojciec symbolizował tradycję, tak ukochana kobieta wyidealizowaną Europę, która w swym egoizmie nie jest w stanie zrozumieć człowieka Zachodu. Narzeczona Gibreela nosisząca poetyczne imię Alleluia, odbywająca z nim wspinaczkę na Mount Everest, okazuje się bezbarwnie niewierna, wszystko traktuje płasko i bez zrozumienia. Podobnie jest z żoną Saladina, Pamelą. Zachód jest dla Rushdiego siedliskiem zła, miejscem rozkładu, dekadencji. Obraz Anglii ukazany w powieści może budzić skojarzenia z fragmentami najbardziej koszmarnych antyutopii. Jedyna pozytywna postać to staruszka Rosa Diamond przyjmująca obu bohaterów pod swój dach, gdy wydostają się z rozbitego wraku samolotu. Lecz ona wkrótce umiera, a jej dobroć zostaje szybko zniewieczona przez bezwzględność funkcjonariuszy policji imigracyjnej wobec Saladina.

Zawartą w „SZATAŃSKICH WERSETACH” polemikę można odczytywać na różnych płaszczynach dzieła. Najbardziej widoczna jest w samej akcji, czy w łatwej do interpretacji symbolice. Pojawia się też w bezpośrednich, eseistycznych wypowiedziach o autorach. Ciekawe, że Rushdie wprost atakuje tylko kulturę europejską, jakby wyczuwał niebezpieczeństwo otwartej dyskredytacji islamu (zresztą rozważenie możliwości i ryzyka błuznierstwa pojawia się w dyskusjach między Gibreelem a producentem filmowym). Atak na kulturę Zachodu poparty jest wieloma odwołaniami do dzieł i zjawisk artystycznych ostatnich co najmniej stu lat. Można powiedzieć, że

„SZATAŃSKIE WERSETY” to powieść-cytat, powieść-dialog, dla kontekstualistów raj badań. Tym bardziej, że najciekawsze, a zarazem najtrudniejsze do uchwycenia aluzje ukryte są głęboko w strukturze powieści. Bardziej na powierzchnię widać oczywisty patronat Joyce'a z jego zmaganiem się ze swoją irlandzkością. Widać inspirację Dostojewskim, zwłaszcza w konstrukcji bohaterów. Ale szczególnie bliskie wydają się „SZATAŃSKIE WERSETY” dwu arcydziełom XX wieku: „MLSTRZOWI I MAŁGORZACIE” Bułhakowa i „DOKTOROWI FAUSTUSOWI” Mann, nie tylko poprzez wprowadzenie motywu diabła, skądinąd znów kuszącego artystów, lecz poprzez próbę wymierzenia sprawiedliwości współczesnemu światu. Czy próbę udaną?

Gdyby Rushdie pisał tylko o wydziedziczeniu Hindusa, jego powieść zatrzymałaby się w interesującym, ale jednak dosyć egzotycznym punkcie. Pisarz jednak idzie dalej. Stawia diagnozę całej współczesności. Szaleństwo świata jest wynikiem rozdarcia, zagubienia XX-wiecznego człowieka. Stąd schizofrenia, rozbiecie bohatera na dwie kontrastowe postaci. Stąd też wynika niejednoznaczność metamorfosis dobra i zła. W „SZATAŃSKICH WERSETACH” nie ma podziału na czarne i białe, diabeł z archaniołem nieustannie się zmagają, do końca nie wiadomo, kto jest kim, nawet Prorok ulega zwątpieniu. Religia, wiara niosą z sobą ślepy fanatyzm, wolność Zachodu znamię rozkładu wszelkich wartości. Nie ma żadnych podstaw do budowania zasad moralnych, cywilizacja się skończyła, pozostaje tylko wytoczyć jej akt oskarżenia.

Nie przypadkiem bohaterami „SZATAŃSKICH WERSETÓW” są aktorzy. Właśnie w aktorstwie, aktorstwie życia codziennego, w przybieraniu różnych pól, w wchodzeniu w różne role widzi pisarz zło współczesnego świata. Powieść demaskuje jeden wielki, ogólnoludzki fałsz. Jednym z wcieleń diabła jest tutaj postać producenta filmowego skłaniającego bohaterów do zagrania w jego błuznierczych obrazach (okazuje się, że obie wtrącone w fabułę opowieści zawierały akcje planowanych filmów). Kultura XX wieku to dla Rushdiego kultura przybieranych mask, rolę zaś rozdziela Zły.

Powieść stawia twarde nie: tradycji i dniu dzisiejszemu. Wschodowi i Zachodowi. Jest prowokacją, w dużej mierze na pewno błuznierstwem (czyli emocjonalnym i gwałtownym podważeniem tego, co uznawane jest za święte), ale też bolesnym rachunkiem sumienia — lecz rachunkiem neurotyka i nihilisty. „SZATAŃSKIE WERSETY” tym się różnią od przywołanych wyżej dzieł, że w granicznym niekiedy z histerią rozgorączkowaniu, powieść ta traci ową odrobinę, ozdrowieńczą przeciwieństwo przy wymierzaniu światu sprawiedliwości, apollinijskiego dystansu. Nie znaczy to, że jest ona zła. Wręcz przeciwnie, fragmentami porusza, w całości imponuje rozmachem i bogactwem wyobraźni autora (również jego erudycją). Lecz równocześnie poraża i odstrasza czytelnika swą niepołączoną pretensją do świata. Nie można jej czytać spokojnie: tyleż urzeka, co irytuje, w tym zaiste jest dziełem szatańskim...

Powieść Rushdiego zasługiwałaby na poważną dyskusję literacką. Tymczasem ona sama została odsunięta w cień, na pierwszy plan wybiła się sprawa skazania pisarza na śmierć przez irańskich ajatollahów. Wzbudziło to zrozumiiałe oburzenie i zbędne byłoby tłumaczenie, dlaczego. Oderwanie jednak sprawy Rushdiego od jego dzieła nie jest zabiegiem uczciwym, gdyż stawia cały problem w fałszywym świetle.

Problem ów przerasta prozaiczny konflikt między wolnością słowa a fanatyczną tyranią. Gdyby tylko do tego się sprowadzało, miałyby wyłącznie charakter moralny — wiadomo, że trzeba stanąć po stronie wolności, nawet przyjmując ryzyko, iż może być ona nadużyta. Na tym poziomie powieści Rushdiego trzeba bronić i w żaden sposób decyzji Chomeiniego nie da się wy tłumaczyć. Problem jednak znacznie się komplikuje, gdy spojrzymy na sprawę, wychodząc poza jej konkretne, polityczne uwarunkowania. Bo „SZATAŃSKIE WERSETY” postawiły na nowo parę kwestii, które zostały cokolwiek zapomniane w atmosferze europejskiego kultu wolności.

Po pierwsze nie można zapominać, że tolerancja i wolność słowa nie są zawsze i nie wszędzie (a poza Europą nawet niezmiernie rzadko) są uznawane za wartości pozytywne. Tolerancja zakłada, choćby nawet nie uświadomiony, relatywizm. A to z trudem znosi jakąkolwiek ortodoksja religijna. O tym konflikcie, o skutkach obu postaw Rushdie pisze w swojej powieści, a zatem wyjście problemu poza dzieło wydaje się logiczną konsekwencją.

Na to nakłada się konflikt między swobodą twórczą, myślową, moralną a uległością wobec autorytetu. W książce zarówno jeden, jak i drugi wybór prowadzą donikąd — z pierwszego wynika nihilizm, z drugiego fanatyzm. Pisarz chciałby się zdystansować wobec obu, a przecież siłą rzeczy pozostaje po stronie wolności i relatywizmu. Tyle że wnikła się w niebezpieczną sprzeczność: opisując konsekwencje tej postawy, sam doprowadza do negacji zasadę wolności, a więc staje na skraju rozpacz, która niepostrzeżenie podsuwa pokusę nowego... autorytetu. Inteltekualna przygoda Rushdiego nie jest niczym nowym, tę drogę przemierzyła już cała dwudziestowieczna lewica. Gdzie diabeł zaprowadzi zrozpaczonego autora „SZATAŃSKICH WERSETÓW”?

Sprzeczność między wolnością i autorytetem jest poważnym wyzwaniem filozoficznym i bardzo dobrze, iż stanęło ono znów przed nami za sprawą książki Rushdiego. Lecz przy tej okazji stanął przed nami następny, o ileż mniej popularny problem — napięcie między wolnością a odpowiedzialnością twórcy. Wątpiąc o wszelkimi pętającymi ją ograniczeniami XX-wieczna literatura postawiła na pełną swobodę. Czy jednak czytelnicy wrażliwość musi pozostać bezbronna? Czy pisarz nie uznając jakikolwiek autorytetów, ma prawo sam się kreować na autorytet? Czy wyobraźnia powinna być puszczone samopas?

„SZATAŃSKIE WERSETY” prowokują niesłychanie wiele trudnych do rozstrzygnięcia, a przecież odsuniętych na bok (bo i niewygodnych) pytań. Prowokuje książka i prowokują wydarzenia wokół niej się rozgrywające. Jesteśmy świadkami dramatu, który być może położy się cieniem na losie literatury w następnym stuleciu. Władcy Iranu podtrzymują w mocy decyzję konającego starca. A choćby i oficjalnie ją anulowali, czy pisarz może czuć się kiedykolwiek bezpieczny, skoro jego nazwisko dla milionów wyzwawców islamu stało się synonimem diabła? Wzrostarczy jedna, niechby ręką szaleńca wymierzona kula. Lecz autor „SZATAŃSKICH WERSETÓW” postanowił opuścić kryjówek. Czyżby znów prowokował, tym razem los?

Archanioł (a może to był diabeł?) dosłownie zstąpił na ziemię. Wraz z nim powróciły problemy, które stają się poważnym wyzwaniem dla naszej refleksji. Przed „SZATAŃSKIMI WERSETAMI” nie ma ucieczki. Niezależnie od swej wartości literackiej (którą sprawiedliwie oceniamy dopiero przyszłe pokolenia) jest ta powieść zdarzeniem, na które nie można przymykać oczu.

Camera obscura

Amatorzy, amatorzy... Amatorstwo, acz szlachetne, kwitnie ostatnio w telewizji. Coraz więcej ludzi, nie mających pojęcia o specyfice telewizyjnej pracy, dociera przed kamery i rozsuwa na ekranie swoje wdzięki. Rzecz sprawadza się na ogół do rzeki gadulstwa, a poza tym na ekranie nie się nie dzieje. Można by z powodzeniem zastawić dźwięk, wyłączyć wizję — i będzie radio. Taki też stał się ostatnio popularny „Pegaz”. Przechodzi z rąk do rąk, tracąc coraz bardziej na atrakcyjności. Jego najnowszy szef, Andrzej Urbański, po prostu przemawia do kamery, sam lub w gronie zaproszonych gości. Ciekawi

jestemy, czy jest to wynik oszczędności — czy braku wyobraźni czym jest i czym powinna być telewizja, zwłaszcza w tak wdzięcznej dziedzinie jak jest kultura i sztuka...

W telewizyjnym „Pegazie” usiłowano podsumować miniony rok w literaturze, teatrze, kinie. Po długiej i nudnej dyskusji prowadzonej przez wielu wybitnych fachowców okazało się, że od 4 czerwca 1989 roku w zasadzie nic szczególnie w sztuce nie wydarzyło się. A nieprawda... Płynnie przecież i płynie, nie mająca końca, potężna rzeka martyrologii i

kombatanctwa bardzo różnej jakości. Na taką skalę zjawisko to nie wystąpiło nigdzie w świecie! Swoją drogą ciekaw jesteśmy, czy coś nowego pojawi się dopiero wówczas, gdy ostatni kombatanctwa spiszają lub ukazą swoje wspomnienia (na ekranie lub scenie)?

Telewizyjne „Wiadomości” pokazały ostatnio króciutką migawkę ze świata: Saddam Husajn wizytował swoje wojska i degustował z żołnierzami... grochówkę. Czegoś nam w tym swojskim obrazku brakowało. Myśleliśmy, myśleliśmy, aż wymyśliśmy czego: pisarzy, którzy de-

gustowaliby tę grochówkę wraz ze swoim wodzem i ukochaną armią. Czyżby w Iraku brakowało literatów...?

Zgodnie z przekonaniami dziennikarzy „Gazety Wyborczej”, któremu dają wyraz na łamach swego pisma — istnieje Marek Rostworowski, pisarz, kandydat na ministra kultury oraz Marek Rostworowski, autor głoonych wystaw plastycznych (nie kandyduje?). Podpowiadamy jeszcze trzecią możliwość: Marek Rostworowski — zawód niechże mu dziennikarze „GW” wpiszą wedle uznania. W demokracji wszystko wolno.

„KONTURY“

Eugenia Prokop-Janiec

Kontury — pierwszy almanach prozy i poezji wydany przed dwoma laty przez Związek Autorów Piszących po Polsku w Izraelu — doczekały się drugoobiegowego (i pirackiego) przedruku w Krakowie. Leżą przede mną oba tomy. Izraelski: z lakierowaną białą-różową okładką, na której czernią odcinają się litery tytułu. Polski: w obwolutie, na której z czarnego tła wycięto białą przestrzeń o kształcie żydowskiego nagrobnego kamienia, macewy, by złożyć w niej tytuł — niby żalobną inskrypcję.

Przedruk w Polsce — to wyjątkowy los ukazujących się dziś coraz rzadziej izraelskich książek polskojęzycznych. „Niektórzy spośród piszących po polsku nie mieli możliwości drukowania w tym języku i musieli, w najlepszym razie, zadowolić się przekładami na hebrajski” — przedstawia sytuację literatów polskojęzycznych w Izraelu redakcja almanachu. Są więc „Kontury” — zamierzony jako pierwszy tom serii — próba stworzenia stałego punktu oparcia dla tego środo-

wiska, mającego też już własny (założony w roku 1986) związek pisarski. Wbrew popularnemu stereotypowi, polszczyzna nie jest nieoficjalnym językiem Izraela. Być może, będzie takim językiem niebawem — rosyjski... Szczerze dziś polskojęzyczne kręgi — stają się tam coraz węższe, dążenie do zapewnienia ich życiu kulturalnemu instytucjonalnych ram służyć ma ocaleniu tego, co można jeszcze uchronić z żywego niegdysь mariażu polszczyzny i żydowskiego świata.

Egzotyczne, zdawać by się mogło, środowisko polsko-izraelskich pisarzy, nie jest czynnikiem polskiemu całkowicie obce i nie znane. Owszem, są wśród zaprezentowanych w almanachu autorów i tacy, którzy ogłaszają swe utwory głównie w prasie izraelskiej. Są jednak w tym gronie i tacy, których książki obecne są u nas w pierwszym, drugim czy emigracyjnym obiegu, którzy goszczą na łamach emigracyjnej i krajowej prasy. Oto znaleźli się wśród sześciastu autorów tomu: Ida Fink, głośna w świecie dzięki znakomitemu zbiorowi o-

powiadań o zagładzie Skrawek czasu, Leo Lipski (powieść *Piotruś*, lagrowe opowieści *Dzień i noc* — Instytut Literacki w Paryżu), Halina Birenbaum (wznawiane w kraju wojenne wspomnienia *Nadzieja umiera ostatnia*), Aniela Jasińska (kilka tomów prozy wydanych przed opuszczeniem Polski z falą marcowych emigrantów), Natan Gross (dwa zbiorki poetyckie ogłoszone w króciutkim okresie tuż powojennej kulturalnej swobody), Ida Henefeld-Ron (tomik *Wczorajsze jutro* — londyńska Oficyna Poetów i Malarzy). Krakowiakom znany być może krytyk i eseista Ryszard Loew, drukujący swe teksty w „Tygodniku Powszechnym”, „Krakowie”, „Wieściach”.

Wedle sugestii tytułu, almanach zakreślać ma kontury ładu polsko-izraelskiej literatury. Obszar ten okazuje się artystycznie zróżnicowany. W prozie — gama temperamentów i szkół od zapisków na poły dokumentalnych poprzez tradycyjną realistyczną solidność, przypominającą nieco Hłaskę mroczność (Eli Barbur, *Imię twoje część świata*), po ekspresjonistyczny krzyk (Lipski, *Swa. Paweł*), groteskę (Anna Kadary, *Samobójstwo pana Rossa*) i Bułhakowską w tonie fantastykę (Michał Tonecki — fragment powieści *Tobiasz*). W poezji — dykcja postkaman-drycka i postróżewiczońska, echa Tuwima i Ficowskiego. Tematycznie dominuje wszak-

że jeden wątek: Żydzi, żydowskość, żydowski los. Z tego losu właśnie wywodzone bywają niekiedy raczej sztuki. „Czekam, aż obrazy podniosą się przede mną jak węże przed zaklinaczem, obrazy owszonych i żywych, wciskających usta w wargi trupów, obejmujących ich udami, aż zmieszają się w wielkim składzie potu, łajna, strachu i ośpienia, i odśpioną to, co było przedtem — izby okazało się, że ja, który byłem przeznaczony ku śmierci, stałem się dla żywota; że zostałem zabity, aby stworzyć ze zdań i słów życie, które wyrośnie na nawozie, ze mnie i z tych, którzy zgnili.”

I wydaje się to najbardziej proste i wielokrotnie zawide, droga prymitywna, przewrotna i zwycięska” — powiada bohater Lipskiego.

Zagłada nie jest jednak bynajmniej jedynym tematem. Należący do różnych generacji autorzy zapisują różne e-ooki żydowskiego życia, utrwalają rozmaite doświadczenia. Wojna i marzec 1968. Warszawa po aryjskiej stronie. Izraelska tuż powojenna wieś. Tel-Awiv u schyłku lat osiemdziesiątych. Żydowski liberalizm i ortodoksja, artyści i żołnierze...

Jeśli szukać najbliższej pisarzom „Konturów” tradycji, to — niezależnie od ich do- brze uchwalonych dla polskiego ucha — okaże się nią międzywojenna literatura polsko-żydowska. Zjawisko dziś za-

poznane i przez polską, i przez żydowską stroną. Okrzepło w latach trzydziestych, by rychło odejść ze światem, który go wyłonił: światem polsko-żydowskiego pogranicza. U schyłku dwudziestolecia polszczyzna stawała się trzecim — obok jidysz i hebrajskiego — domowym językiem żydowskim. Co więcej, był to wtedy język bardzo w środowiskach żydowskich ekspansywny i dla niektórych oczywistością już było nadejście ery literatury żydowskiej w języku polskim... Proklamował ją nie kto inny jak młody Roman Brandstaetter, zapalony wówczas syjonista.

Jest oczywiste, że sięgając po „Kontury”, krakowscy wydawcy liczyli na utrzymującą się od dekady rynekową passę judaików... Jakkolwiek było, jedyny komentarz — jakim almanach od siebie opatrzyli — żalobna obwoluta, świadczy, że przedsięwzięcie swoje rozumieci nie tylko komercjalnie.

KONTURY. WYBÓR PROZY I POEZJI AUTORÓW PISZĄCYCH PO POLSKU W IZRAELU, t. I, TEL-AWIW, 1988 (wyd. Związek Autorów Piszących po Polsku w Izraelu).

KONTURY. OPOWIADANIA I POEZJE PISARZY ŻYDOWSKICH ŻYJĄCYCH W IZRAELU I PISZĄCYCH W JĘZYKU POLSKIM, WYDAWNICTWO-X — KRAKÓW 1989.

Rozmowy poetów

Leszek Elektorowicz

Coraz częściej pojawiają się u nas książki złożone z rozmów z osobami interesującymi autora i czytelników czy to z racji zajmowanego stanowiska, popularności czy poruszanego tematu. Myślę, że książki tego typu zastępują zanikające dziś edycje tomów korespondencji, a także pamiętników. Na częstotliwość takich publikacji wpływa też niewątpliwie rozwój techniki nagrania magnetofonowych, przetwarzanych później w formie drukowanej.

Ostatnio wpadła mi w ręce tego typu książka wydana w Kanadzie pt. „Siedem rozmów o poezji” Florian Smieja, poety i tłumacza żyjącego na emigracji. Autor należał do pamiętnej grupy poetyckiej „Kontynenty” w Londynie. Rozmawiamy jego w tej książce są kolejno: Tymon Terlecki, Jerzy Pietrkiewicz, Janusz Ichnatowicz, Stanisław Barańczak, Krzysztof Lisowski, Julia Hartwig wraz z Arturem Międzyrzeckim i Wacław Iwanuk. Rozmowy były nagrywane bądź za granicą, bądź w czasie pobytu autora w kraju w latach 1975—1989.

Mnie osobiście najbardziej zainteresowały rozmowy z poetami emigracyjnymi, bowiem sytuacja poezji krajowej jest nam — w sposób oczywisty — lepiej znana. Choć zapewne — nie najlepiej, biorąc pod uwagę poważne luki i przemilczenia (niekoniecznie świadome), jakie się w jej opisach od lat powtarzają. Ale oto okazuje się, że i wśród poetów żyjących na emigracji równie dotkliwie są przypadki zapomnianych czy wręcz nieobecnych w świadomości literackiej twórców. Tymon Terlecki, zmarły niedawno wybitny krytyk teatralny i eseista, podkreślając swoje lwowskie pochodzenie wspomina się o pamięć dla zapomnianego w Polsce poety Stanisława Maykowskiego, lepiej znanego jako autora (wraz z Janem Balickim) świetnych przedwojennych podręczników literatury polskiej. Przypomina też legendarne w swoim czasie Jana Zahradnika, zmarłego w okresie pierwszej wojny światowej. Zalicza go do kręgu „Młodej Polski lwowskiej”, w odróżnieniu do Młodej Polski krakowskiej, warszawskiej i

zakopiańskiej. Z lwowską — łączy m.in. Irzykowskiego, a wśród zapoznanych lwowskich twórców wymienia też poetę Henryka Balka, zamordowanego przez Niemców w czasie II wojny światowej. Z rozmowy z Terleckim pragnąłbym przytoczyć piękne zdanie o poecie, którym był najbardziej zafascynowany: „*Leśmiański był takim nieblańskim piskielcem, które spadło z nieboskona i przez jakąś określoną przez Boga ilość lat poruszało się nieudolnie po naszym padole.*”

Terlecki mówił o poetach swojej generacji i starszych, zaś Jerzy Pietrkiewicz przywołuje na pamięć twórców młodszych, wśród których wymienia zupełnie nieznanego w kraju, a mało na emigracji, poetę Bogumiła Andrzejewskiego, autora m.in. długich poematów o zwierzętach, np. „*fantasmagorii o nosorożcu czy bazyliisku*”. Przypomina też autora kilku ciekawych zbiorów poezji, po których zamilkł Józef Bujnowski. A także prawie nie znanego u nas Stefana Borsukiewicza, który zadebiutował na Zachodzie,

lecz zginął w czasie wojny na ćwiczeniach. Na temat tych i innych zapoznanych wypowiada Pietrkiewicz taką refleksję: „*Dlatego jestem zły na tych współczesnych poetów, którzy propagują tylko siebie.*” Oj, zdaje się, że ta uwaga brzmi bardzo á propos także w odniesieniu do naszej krajowej sytuacji... Janusz Ichnatowicz wspomina czasy i poetów grupy „Kontynenty”, a wśród nich Wojciecha Gniatczyńskiego, który lutnie poety zamiemnił na skalpel krytyka i Danutę Bienkowską, autorkę dwóch szupczych, ale godnych uwagi tomików. Autorem jednego z nich wierszy jest zdany przedstawiciel tej grupy poetów, a także krytyk i publicysta, Jan Darowski.

Oryginalna jest wypowiedź Wacława Iwanuki. Wspominając np. poezję Tadeusza Sułkowskiego podkreśla, że wypracował on swoisty styl, „*czego nie dokonał Miłosz.*” Zarzuca nobliście, że po wyjeździe z kraju zatracił swój styl z okresu „*Trzech zim*” i poddał się wpływowi poezji amerykańskiej. Jak na to, że rozmowę przeprowadzono w 1989 r., trzeba przyznać, że co najmniej ryzykowne to stwierdzenie... Sam Iwanuk zadebiutował w 1934 zbiorkiem „*Pełnia czerwca.*” Cieszył się poparciem Józefa Czechowicza. Na emigracji zaś przyszło mu pracować w rzeźni, potem w magistracie, dlatego tylko „*niekiedy udało się coś napi-*

sać w czasie weekendu”. Interesujące są uwagi Iwanuki w odniesieniu do poetów nowej emigracji. Barańczak — jego zdaniem — pisał w Polsce ciekawsze wiersze niż obecnie, a Zagajewskiemu zarzuca zbyt dużą dowolność w konstrukcji wierszy, w których poszczególne elementy są wymienne i czasem wręcz zbędne. Zresztą równie surowe stanowisko zajmuje Iwanuk względem własnej twórczości. „*Odpisuje na strofy całą swą twórczość przedwojenną, a także połowę wierszy powstałych na emigracji, które wydała „Kultura.*” I choć w Polsce ma wyjść obszerne wybór jego wierszy, wczesnych i późniejszych, on wolałby „*aby ukazało się kilkanaście wierszy, ale tych, które poetycko są dla mnie ważne.*” Oczekuje też, że w przygotowywanym tomiku „*Moje obłąkanie*” znajdą się jego najlepsze utwory. „*Ja siedzę w lekturze polskiej. Wydaje mi się, że siedząc i pracując tutaj mam dom w Polsce, a nie w Kanadzie.*”

Zdanie to dotyczyć by mogło większości pisarzy na emigracji.

FLORIAN SMIEJA: Siedem rozmów o poezji. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie. Toronto 1990.

CZYTADŁA

Ludlumi to termin ostatnio modny wśród miłośników powieści sensacyjnej. Pytanie o nowe „Ludlumi” ciągle rozbrzmiewa w księgarniach i bibliotekach. Jest to po prostu termin określający powieści Roberta Ludluma. Pierwsza z

nich, „*Tożsamość Bourne'a*” okazała się niemal tak znakomita w swoim gatunku jak głosiła to reklama na obwolutie, stanowiąca cytat z prasy amerykańskiej: „*W jednej jego powieści mieści się naraz dziesięć!*” Potem otrzymaliśmy kolejno „*Przesyłkę z*

Salonik” oraz *Transakcję Rhinemanna* — i napięcie nieco zelżało. Te „*Ludlumi*” były niezłe, ale już nie tak dobre. Kolejny „*Ludlum*” pojawił się w jakimś wydawnictwie wrocławskim, ale o pasy tom zrobiony był tak niechlujnie że rozsyłał się w rękach czytelników. Mają go ponoć wydać jeszcze raz, jako dwa tomy („*Krucjata Bourne'a*”). Najnowsza książka — „*Mozaika Parsifala*” — została wydana przez „*G i G*”, choć „*Manuskrypt Chancellor*” to złowu wydawnictwo „*Amber*”.

„*Mozaika Parsifala*” jest prawie równie dobra jak

„*Tożsamość Bourne'a*”, może dlatego, że posiada pewną wspólnotę wątków: bohater szuka przyczyn, dla których agencja wywiadowcza wydała na niego wyrok śmierci i zarazem cały czas usiłuje jej uniknąć. „*Manuskrypt Chancellor*” zapowiada się niezłe (jestem dopiero w trakcie czytania).

Na czym polega tajemnica popularności Ludluma? Jego powieści, podobnie jak w przypadku książek Fredericka Forsytha, rozgrywają się „*na szczytach*”: Biały Dom, Departament Stanu, CIA, FBI, Pentagon, Kreml, KGB. Ich akcja — zbudowana nad-

zwyczaj misternie — nosi wszelkie znamiona prawdziwego podrobienia, a niektórzy z bohaterów są wręcz postaciami autentycznymi (politycy). Zrezygnowanie kolejnych ogniw w łańcuchu zagadki dopełniają reszty. Polowanie na nowe „*Ludlumi*” trwa.

RECYDYWISTKA

ROBERT LUDLUM, „Manuskrypt Chancellor”, wyd. Amber 1990.

ROBERT LUDLUM, „Mozaika Parsifala”, wyd. G i G 1990.

Ofiara koniunktury

Jerzy Lohman

Na okładce tytuł „Dom Radziwiłłów” i herb książęcy. Wewnątrz tekst zdołał portretować członków rodu aż do współczesnych oraz zdjęcia ich licznych rezydencji. Wystarczyło, by 50-tysięczny nakład poszedł jak woda. Jeszcze jeden dowód na to, że snobizm jest obok seksu niezawodnym instrumentem zainteresowania czytelnika, co literatura wykazywała od Prousta do, za przeproszeniem, Heleny Mniszek, a czemu włączyć nie bardzo chce wierzyć większość krajowych wydawców, bardziej życzliwych wszelkiej martyrologii i hagiografii.

Ta książka powinna być znakomita. Spełnione zostały wszelkie warunki, by powstał tekst świetny: wybitny i niezwykle sprawny pisarz, znawca historii, z przekonaniem konserwatysta, patriota litewskich kresów, opowiada o rodzinie, który jest tych kresów symbolem.

Dzieło powstawało w sytuacji niezwykle korzystnej: był rok 1962, trwała kadencja pre-

zydencka Johna Kennedy'ego. Na fali tej sympatii odżyło zainteresowanie rodem Radziwiłłów, gdyż Jacqueline Kennedy było rodzoną siostrą księżnej Lee Radziwiłł, żony ks. Stanisława, po wojnie mieszkającego stale w Londynie. St. Radziwiłł był ojcem chrzestnym syna Kennedy'ego, a w r. 1961 prezydent wracając ze spotkania z Chruszczowem w Wiedniu zatrzymał się w Londynie, specjalnie po to, by trzymać do chrztu córkę Radziwiłłów. Wykorzystując tę koniunkturę monachijski wydawca Piper zamówił u Cate Mackiewicz książkę o rodzinie Radziwiłłów. Stary wyga dziennikarski Cat chyba nigdy jeszcze nie tworzył w sytuacji tak luksusowej: pisał wprawdzie w Warszawie, lecz mógł zupełnie nie liczyć się z cenzurą.

Niestety, książka okazała się po prostu złą. Tak zła, że Piper nigdy jej nie wydał. Napisanie monografii Radziwiłłów ponownie zlecił Tadeuszowi Nowakowskiemu; opracowanie to miało dwa wydania w RFN

i jedno w Anglii. Natomiast odrzucony przez Pipera maszynopis Cate uważany był za zaginiony. Odnalazł się po 25 latach dzięki staraniom Jerzego Jaruzelskiego, wytrwałego badacza twórczości Mackiewicz. Ostatnio wydał go „Czytelnik”.

Warto zastanowić się nad mechanizmem tak zaskakującego niepowodzenia tej książki. W „Rodzie Radziwiłłów” wystąpiły w stopniu skrajnym wszystkie kontrowersyjne (jak uważają zwolennicy) czy negatywne (zdaniem przeciwników) cechy pisarstwa Cate: niekontrolowana skłonność do dygresji, przypadkowa kompozycja, chaotyczna narracja, bezceremonialne kompilowanie własnych wcześniejszych tekstów, dezynwoltura w hipotezach i wnioskach, niedbałość, drażniący egocentryzm. Książka jest luźnym zbiorem tekstów, wiążących się z wybranymi, czasem przypadkowo, przedstawicielami sławnej rodziny, uszeregowanymi chronologicznie. Cat więcej i częściej pisze o sobie i swoich wspomnieniach, odczuciach, skojarzeniach niż o tytułowych Radziwiłłach. Uwzględniając nieznamość spraw polskich u zagranicznego czytelnika stara się mówić o nich w sposób elementarny, lecz nieustannie dygresje i aluzje historyczne skaczące po epokach ruchem konika szacho-

wego sprawiają, że cudzoziemcowi trudno cokolwiek z tego pojąć. Polskiemu inteligentowi zaś rzecz przypomina skrzyżowanie szkoły podstawowej z felietonem politycznym.

Książka z założenia miała mieć charakter reklamowo-panegiryczny, nie dziwi więc, że Cat z rozmachem naciska odpowiednio pedały, wycisza zaś momenty mniej chwalebne, że np. rozwódzi się o legendarnych sympatycznych cechach ks. Karola Panie Kochanku, a pomija cechy historyczne, zdecydowanie negatywne.

Błędem sztuki wydaje się natomiast zupełne przemilczenie postaci tak malowniczych, zwłaszcza dla cudzoziemca, jak uwiecznieni przez Prousta: księżne Bichetta i Dolores, księżna Konstancy i Leon (Loche), albo tak autentycznie bohaterów jak Artur Mikołaj (zginął jako oficer w bitwie pod Oltarzewem w 1939) i Konstancy Mikołaj (oficer AK ps. Korab, zamęczony przez gestapo), lub ofiary łagrów — Konstancy z Towian i Hieronim z Balic.

Nie brak też zupełnie niezrozumiałych u tak znakomitego znawcy przedmiotu błędów rzeczowych. Szczytem niechlujstwa jest to, co pisze na s. 160: najpierw stwierdza, że w r. 1774 w rzekomej księżniczce Tarakanow zakochał się radzi-

wiłowski dworzani, a zaraz potem, że prawdziwą ks. Tarakanow była nieprawą córką carycy Elżbiety i urodziła się w tym samym r. 1774, kiedy Elżbieta nie żyła już od 12 lat.

A mimo wszystko „Ród Radziwiłłów” przeczytać warto. Choćby dla wysucia dydaktycznej konkluzji, iż dziełom powstającym w idealnych warunkach szczególnie zagrażać może bylejakość. Ale warto także dla specyficznych smaczków Catowego stylu, których tu przecież nie brakuje. O! choćby:

„Powstanie wynoślał jeden człowiek, który naród polski upokorzył i żył.

Aby ten dramat historyczny jeszcze bardziej uczynić niesamowitym, dodajmy do powyższego jeszcze jedno stwierdzenie:

Człowiek, który obrażał honor Polaków w tak dotkliwy sposób, że aż spowodował wojnę polsko-rosyjską, kochał Polaków.

I jeszcze jedno stwierdzenie koszarne:

Polacy wiedzieli, że on ich kocha.

Mowa tu jest o wielkim księciu Konstantym...” (s. 178).

STANISŁAW MACKIEWICZ: Dom Radziwiłłów, Warszawa, „Czytelnik” 1990, s. 254, 43 il., tablica genealogiczna.

J. Barron specjalizuje się w dziwnej wiedzy: jest to wiedza o KGB.

Prezentujemy wybrane fragmenty z jego jeszcze nie wydanej w Polsce książki, przygotowanej do druku w Wydawnictwie Literackim. Całość tłumaczyli BARBARA SŁAWOMIRSKA i ANDRZEJ NOWAK.

W poprzednim odcinku: pracujący dla KGB Polak, Zacharski rekrutuje dla sowieckiego wywiadu amerykańskiego inżyniera, Bella, wykorzystując jego finansowe kłopoty...

KGB – ukryta ręka (VI)

John Barron

Wróciwszy do Hughesa, Bell począł pilnie wypełniać polecenia i niebawem dostarczył Zacharskiemu film, a ten z kolei wręczył mu dwie sumy, każda po 5000 dolarów. Wioząc z sobą film zawierający plany systemów radarowych, Bell wybrał się znów do Innsbrucka i rano 7 maja 1980 roku udał się do kasy kolejki linowej, gdzie czekał już na niego młodszy wspólnik Paula. Wysocko w górze, w wagoniku kolejki, Bell przekazał mu film.

Kiedy wysiedli, podszedł do nich Paul; uściskał go i zaprosił go na spacer, każąc swemu porucznikowi obserwować, czy nie są śledzeni. Polacy bowiem — a raczej KGB — doszli do wniosku, że to, co Bell sprzedawał, było warte o wiele więcej od żądanej przez niego ceny.

— Zapadła decyzja, że będziemy ci płacić 60000 dolarów, a ponadto 3000 dolarów miesięcznie — poinformował go Paul. — Przynajmniej na początku będziemy wypłacać w złotych monetach.

Paul nalegał, by Bell postarał się zdobyć pracę w Obronnej Agencji Zawansowanych Projektów Badawczych, która popiera badania mogące mieć kluczowe znaczenie dla nowych rozwiązań zbrojeniowych.

W lecie 1980 roku, w czasie służbowej podróży na Wybrzeże Wschodnie, Bell odwiedził swego przyjaciela pracującego w agencji. Miał nadzieję, że starczy mu odwagi, aby wszystko mu wyznać i poprosić o pomoc w wypłatach się z owych szpiegowskich przedsięwzięć. Lecz przyjaciela nie zastał. Bojąc się, że albo jemu, albo też jego rodzinie przydarzy się jakieś nieszczęście, nadal więc służył swym nowym panom.

Co miesiąc Zacharski wręczał mu zapłatę w wysokości 5000 dolarów, czyniąc to zazwyczaj w złocie. W połowie lata odbył z nim poważną rozmowę. Był przekonany, że albo FBI albo CIA zaczęły go śledzić, toteż Bell również może być pod nadzorem. Nie powinien więc mówić nic obciążającego ani przez telefon, ani też w miejscu zamieszkania. Podczas gry w tenisa, 30 sierpnia, Zacharski stanął nag-

le jak wryty i wskazał mu głową pobliski parking.

— Patrz! Są tam!

Przygotowując się do następnego spotkania w Europie, Bell fotografował przeróżne tajne dokumenty. Zawierały one plany korelatora video w pocisku cruise, plany ulepszeń w pocisku przeciwpancernym TOW, dwóch lekkich pocisków przeciwlotniczych i tajnego systemu broni działającej w każdych warunkach atmosferycznych.

W burzliwym, pochmurnym poranku w październiku 1980 roku, Bell przybył do Linzu na spotkanie z partnerem Paula. Polak odebrał film i poinstruował go co do innych dokumentów, jakie miały zostać skopiowane, a następnie przekazał plan miejsca, w którym mieli się spotkać po raz kolejny. Tym razem wybrał Genewę.

Z początkiem roku 1981 Zacharski przeniósł się do Chicago, gdzie został szefem Polanco, toteż Bell pracował teraz na własną rękę. Tak jak ustalono, rankiem 22 kwietnia wymienili znaki rozpoznawcze ze swoim kontaktem w Muzeum Ariana, na przeciwko Misji Radzieckiej w Genewie. Przyniósł z sobą utrwalone na filmie najlepsze dane, jakie mu się dotąd udało wykraść od Hughesa — plany najnowszego „cichego” radaru, którego funkcjonowanie nie mogło być uchwycone przez wrogie czujniki. Radar ów miał być zainstalowany na bombowcu B-1. Bell zdobył również specyfikację radaru myśliwca F-15, uzmóżliwiającego śledzenie i niszczenie samolotów i pocisków przelatujących na niskim pułapie.

Podążył za swoim kontaktem do pobliskiego biura ONZ i w windzie wręczył mu film. Następnie obaj udali się na brzeg Jeziora Genewskiego, gdzie „kontakt” dał mu 7000 dolarów i instrukcje odnośnie następnego spotkania, które miało się odbyć w Muzeum Antropologii w Mexico City.

„Kontakt” cieszył się z łupu. Za to Bell odszedł z tego spotkania pełen najgorszych przeczuc, obawiając się, iż w Genewie ktoś mógł go obserwować. I pod tym względem miał rację, większą nawet niż początkowo sobie wyobrażał. Zawiadomiony przez Zacharskiego o zawartości przesyłki KGB,

prysłał starszych rangą oficerów z Moskwy, by śledzić przebieg spotkania i natychmiast przejęli film. To właśnie KGB obserwował Bella w Genewie, gdziekolwiek tylko się ruszył. Z kolei CIA obserwowała i jego i agentów KGB.

Kanalami, których nie ujawniono, FBI dowiedziało się, że z Hughes Aircraft Company znikają przeróżne tajne dokumenty. Śledztwo prowadzone przy pomocy Hughesa ześrodkowało się na pewnej grupie podejrzanych, a w końcu — na osobie Bella. Choć nadal brakowało wystarczających dowodów, by wdrożyć postępowanie karne, FBI rozłożyło nad Bellem odpowiedni nadzór i zwróciło się do CIA, aby śledziła wszystkie jego ruchy w Europie.

Kiedy Bell znów stanął się w zakładzie pracy, jego zwierzchnik wezwał go do pokoju konferencyjnego.

— Bell, ci panowie są z FBI — powiedział. — Chcieliby z tobą pomówić.

Bell opadł ciężko na krzesło, przysłonił twarz dłońmi i zamilkł. Potem jednak przez całe następne sześć godzin składał szczegółowe zeznania i w końcu zgodził się udzielić pomocy w zbieraniu dalszych dowodów przeciwko Zacharskiemu. 28 czerwca, mając przy sobie ukryty mikrofon, nagrał dłuższą rozmowę ze swoim „przyjacielem” i w ten sposób bezapelacyjnie dowiódł jego winy.

14 grudnia 1981 roku William Holden Bell stanął przed sądem federalnym w Los Angeles. Z uwagi na jego współpracę podczas śledztwa skazano go tylko na osiem lat. Ale dla człowieka sześćdziesięcioletniego — osiem lat to wiele.

Zacharski, wówczas trzydziestoletni, został skazany na dożywocie, a wszelkie apelacje zostały odrzucone. Związek Radziecki dokonywał wszelkich starań, by go wydobyć z więzienia i proponował różnego typu zamiany więźniów, gdyż jego dług wobec Zacharskiego był wielki.

Aresztowanie Williama H. Bella zaszokowało ludzi w Playa del Rey, gdyż wielu spośród nich również pracowało w przemyśle lotniczym. Znali go jako wzorowego męża i ojca oraz dobrego sąsiada. Niektórzy z nich nie mogli wprost uwierzyć w postawiony mu zarzut szpiegostwa, dopóki on sam nie przyznał się na rozprawie do popełnionych czynów.

Jeśli znajomi Bella w Playa del Rey nie mogli w żaden sposób pogodzić się z myślą, że ich sąsiad jest szpiegiem, to tym bardziej w oddalonej o 50 kilometrów Coronie nikt nawet nie podejrzewał, iż jeden z obywateli tego miasta, Walter Spawr, mógłby zaprzęść się Sowieterom. W artykule opublikowanym na łamach „New West”

jeden z dziennikarzy scharakteryzował go jako „Reaganowskiego republikanina, ojca trojga dzieci oraz podpórę Kościoła”. W rzeczy samej bowiem Spawr uosabiał amerykańską rzetelność, niezależność, przedsiębiorczość i inicjatywę. I, zanim jeszcze ukończył trzydzięci lat, nauczył się produkować w swym niewielkim warsztacie coś, czego w owym czasie Stany Zjednoczone niezwykle potrzebowały, a czego w ZSRR nikt w ogóle nie umiałby wykonać. Mianowicie jedne z najlepszych na świecie zwierciadła laserowe.

Ponieważ urządzenia laserowe o dużej mocy są niezbyt wielkie i niezgrabne, wysyłany przez nie promień musi odbijać się od lustra, przy pomocy którego znacznie łatwiej i precyzyjniej można go wysłać do celu. Jednakże gdy takie lustro nie jest wprost idealnie gładkie, promień i jego energia ulegają rozproszeniu. Decyduje więc ono o sile i efektywności broni laserowej.

Począwszy od zainwestowania swych kilkumiesięcznych oszczędności i korzystając przy tym z pomocy żony, Spawr podjął produkcję luster takiej klasy, że Narodowe Laboratorium w Los Alamos, Arsenal w Redstone i Laboratorium Broni Morskiej chętnie je nabywały. Sprzedawał je również przemysłowcom i — poprzez Wolfganga Webera, prackiego przedsiębiorcę zachodniemieckiego — paru medycznym ośrodkom badawczym w Europie.

W roku 1974 Spawr otrzymał list zapraszający go do wystawienia swoich luster w Moskwie, na tamtejszej wystawie handlowej. Do tego przedsięwzięcia namawiał go także Weber, mówiąc o korzyściach, jakie by można osiągnąć, monopolizując chłonny rynek radziecki. Toteż już w jesieni Spawr przesał kilka zwierciadeł do Webera, który zabrał je z sobą na moskiewską wystawę.

Radziecka Izba Handlu jest — najzwyczajniej w świecie — jedynie fasadą dla Wydziału Międzynarodowego KGB, gdyż Sowieterzy nie mają żadnej konkretnej potrzeby utrzymywania tego typu instytucji handlowej. Wiceszefem Izby Handlu był w owym czasie generał KGB, Jewgienij Pietrowicz Pitworanoc, znany ze swej działalności w latach pięćdziesiątych. Naukowe, techniczne i przemysłowe wystawy w ZSRR kontroluje Państwowy Komitet Nauki i Techniki (GNTK), ściśle związany z KGB. Wystawy takie pozwalają Sowieterom ocenić, jakie urządzenia i technologie należałyby w przyszłości zakupić lub wykraść. Zdarza się niekiedy, iż bezprawnego przywłaszczenia cudzej myśli technicznej dokonuje się zaraz na miejscu, w Moskwie. (CDN.)

Po co ludziom filmy?

Ozdoby ubiegłorocznego repertuaru kin

Adam Garbicz

Jakkolwiek by oceniać krajowy repertuar ekra-nowy 1990 był wyjątkowo daleki od normalności. W pierwszej połowie roku mieliśmy jeszcze ostatki zakupów licencyjnych państwowej centrali rozpowszechniania — ostatki dekady chybionej pragmatyki godzenia komercji z ambicjami, dyktatury urzędników uzurpujących sobie prawo do decyzji kulturotwórczych, a także dekady pokrętnych kompromisów politycznych. Druga połowa roku przyniosła początek inwazji potężnych dystrybutorów amerykańskich, dzięki czemu nie zabraknie nam już żadnego przeboju, z pewnością za to nas ominie wiele filmów bardzo dobrych, lecz niekasowych. Tych potentatów nie opłaca się w Polsce pokazywać; tym bardziej nie należy liczyć, że zostaną one wprowadzone przez krajowych dystrybutorów niezależnych i rejonowych, dużo słabszych ekonomicznie, więc walczących o byt tym, co najłatwiej sprzedać.

Zmiany na rynku rozpowszechniania i rynku prasowym pociągnęły też za sobą gwałtowne zaburzenia w informacji. Z tygodników przetrwał tylko „Film”, choć wyraźnie tracący na klasie i dotknięty ostatnio poważną stratą (śmierć czołowego krytyka, Aleksandra Ledóchowskiego); „Kino” wyraźnie maronieje, „Filmowy Serwis Prasowy” stał się groteskowym nieporozumieniem. Powstały już nowe pisma, ale na razie mają trudności startowe: szanse daje „Premierze”, natomiast nie dają ich nadętemu, pustemu i żaloznemu merytorycznie „Media Reportersowi”. Tak czy owak, zerwaniu uległ i tak przedtem słaby kontakt widza z informacją — dużo teraz reklamy, lecz mało rzetelnych opinii — i już chociażby z tego powodu warto dokonać podsumowania roku: co nowego, naprawdę godnego uwagi na

ekranach; czego szanujący się amator nie powinien przeoczyć.

Ograniczę się do 12 filmów, w kolejności od najlepszego, jakkolwiek ta doborowa czołówka niewiele się różni klasą. Oczywiście wszystko to w subiektywnym wyborze; musi być tym bardziej subiektywny, że uległy też zatarciu względnie jednolite kryteria, nawet estetyczne, nie mówiąc o tematycznych i wszelkich wynikających z wieku i przekonań. W niewielkim też stopniu pokrywa się ta dwunastka z czołówką najbardziej popularnych przebojów.

Za najlepszy film ubiegłorocznego „Konfrontacji” uznaniem MISSISSIPPI W OGNIU Alana Parkera; pozostał dla mnie najlepszy w całym tym zestawie. Ta dramatyczna historia dwóch agentów FBI, którzy doprowadzają do skazania grupy prowincjonalnych rasistów winnych zamordowania działaczy ruchu praw obywatelskich, tylko pozornie wydaje się standardowa w fabule i natrętnie oczywista w konkluzji. W istocie bowiem mówi, bodaj po raz pierwszy, że postęp to nie szlachetne zwycięstwo ideałów, tylko kłęska samolubnej głupoty; że demokracja bywa wprowadzana siłą, za którą stoi państwo prawa; że przełom cywilizacyjny w Stanach, tak w roku 1964 jak 1864, opierał się na przemocy i makiawelizmie: trzeba sprowokować zło, wtedy zatriumfuje rozum. Treści te, choć poddane ograniczeniu odwrotu wypadków rzeczywistych, zostały zamknięte w znakomitej formie dramatycznej, a film wyreżyserowany imponująco błyskotliwie, jeśli zważyć, że forma celowo odwołuje się tu do stylistyki sprzed pół wieku. Dodatkowe atuty to Gene Hackman i Willem Dafoe w rolach głównych i bardzo piękna oprawa bluesowa. Notabene w Polsce wie-

le kontekstów, tego filmu — choćby mechanizm odruchów nienawiści i prymitywnego rasizmu — stało się tym bardziej aktualne, im bliżej było końca roku, tym bardziej więc przemysłowe szczegóły owej opowieści było inspirujące.

niebezpieczne ZWIĄZKI to jeden z filmów najchętniej w minionym roku oglądanych przez szanującą się publiczność; w różnych miejscach różnie to zresztą bywało, ale w Krakowie film grano całymi miesiącami. Źródłem sukcesu i tu była perfekcja aktorów — Glenn Close, Johna Malkovicha, Michelle Pfeiffer — i stylu, w jakim Anglik Stephen Frears zekranizował dla producenta amerykańskiego klasyczną francuską powieść o pułapkach uczuć. Powstał głęboki, przenikliwy dramat, któremu w tej dziedzinie mało co dorównuje.

OFIARY WOJNY Briana de Palmy, rzecz o tragedii z Wietnamu (grupa żołnierzy porwa, gwałci i morduje niewinną dziewczynę) ma wiele najlepszych cech wspólnych z filmem Parkera: także to chodzi o rekonstrukcję faktów, co ogranicza różnicowanie charakterów; także tu istota są dylematy moralne; także tu reżyseria jest zarazem wirtuozerska i oparta na dawniejszych środkach przekazu. Film okrutny, zapierający dech, ale sprawiedliwy i godzien szacunku.

SEKS, KLAMSTWA I KASETY WIDEO Stevena Soderbergha to całkowite przeciwieństwo poprzedniego: obraz krótko i delikatny w słowie, w analizie psychicznych, w pogodnym humorze. Wzywa, by być szczerym i nie dać się ogłupiać rzeczom, konwencjom oraz hipokrytom. Tylko tyle; a jednak ta debiutancka opowieść odniosła niezwykle triumf na całym świecie i jest pełna sympatii dla widzów, którzy ją właśnie uznają za najlepszą w roku. Gdyby podobne nastroje panowały wśród młodych

reżyserów polskiego kina! Właśnie tego typu filmy, także ze względu na małe koszty, powinny być ich celem, tymczasem...

Na piątym miejscu bliski subtelnością roboty i intymnością nuty film, który bardzo trudno zobaczyć, bo kupiony został tylko dla kin studyjnych: PROWINCJUSZKA. Udał się autorowi niemal tak, jak wcześniej KORONCZARKA; bywali w świecie kina już znaleźli, że reżyserem jest Szwajcar Claude Goretta. Nakręcił ten film przed 10 laty we Francji. Bohaterka, grana przez pełną orku Nathalie Baye, staje przed wyborem: obrona wartości, wśród których wyrosła i którym była wierna — czy poddanie się, po przyjeździe w poszukiwaniu pracy do wielkiego miasta, swobodnym zasadam „nowoczesności”. Kolejny bardzo piękny wizerunek człowieka w chwilach decyzji, który mógłby być owocną perspektywą dla naszego kina. Nie to jednak się polskim filmowcom marzy; pozostaje więc nam zachwycać się, jak umiędzie podobne fabule opowiadać inni.

MŁODE STRZELBY Christophera Caina to dziwny przypadek. Western pełen młodzieńczej dynamiki, bardzo nowoczesny w stylu, z wymienionymi młodymi aktorami (Emilio Estevez, Charlie Sheen, Lou Diamond Phillips, Kiefer Sutherland); w Stanach odniósł duży sukces, u nas został przyjęty tak chłodno, że właśnie podjęto decyzję o niesprawdzeniu do Polski części drugiej, którą szybko po pierwszej nakręcono, i która też ma na Zachodzie powodzenie...

Nie zawiodło natomiast oczekiwań 9 I POŁ TYGODNIA. Jeden z najlepszych obrazów erotycznych w historii kina, który Adrian Lyne tak starannie poprowadził estetycznie i w którym tak delikatnie wygrał nuanse emocji niebezpiecznego związku dwojga młodych nowojorkowców, także w Polsce cieszy się sporym powodzeniem. Na pewno i tu wiele znaczyli aktorzy: Kim Basinger i Mickey Rourke.

Jedyny film polski w tym towarzystwie: KORCZAK. Okazał się problemem wrażliwości, kultury, inteligencji odczytywania dyskretnie podanych znaczeń. Celowo oszczędny w środkach, szukający repliki tamtych czasów i tamtej mentalności, osiągnął bardzo dobre porozumienie z dojrzałą widownią, natomiast został zdecydowanie odrzucony przez laknącą efektywności i pochopnie wyrokującą część młodzieży. Na Zachodzie został zdyktowany odrzucony przez laknącą efektywności i pochopnie wyrokującą część młodzieży. Na Zachodzie został zdyktowany odrzucony przez laknącą efektywności i pochopnie wyrokującą część młodzieży. Na Zachodzie został zdyktowany odrzucony przez laknącą efektywności i pochopnie wyrokującą część młodzieży. Na Zachodzie został zdyktowany odrzucony przez laknącą efektywności i pochopnie wyrokującą część młodzieży.

lo go w dwunastce najlepszych filmów roku. KORCZAK miał też z pewnością swój udział w przyznaniu Andrzejowi Wajdzie tegorocznego „Felix” dla mistrza kina europejskiego.

STOWARZYSZENIE UMARZYCH POETÓW to ostatnio największy sukces kina ze znakiem jakości. Równe znaczenie, jak w KORCZAKU kreacja Wojciecha Pszoniaka, miała tu kreacja Robina Williamsa; podobne też znaczenie miała reżyseria Petera Weira. Ale motorem był przede wszystkim temat: szkoła jako drogowskaz życia, jako wybór poezji, naturalności, prawdy zamiast rygoru, schematu, przysięgi zaprogramowanej.

Trzecim wybijającym się filmem ubiegłorocznym „Konfrontacji” był BAGDAD CAFE Percy Adlona (nie mylić z koszmarnym serialem tv!), niemiecka komedia o paru niezwykłych ludziach, których los zetknął w peryferyjnym barze na pustkowiach Nevady. Ta historyjka ma niepowtarzalny urok i olbrzymią dozę sympatii dla człowieka, jego słabości, jego ukrytych talentów i jego dobroci, w którą trzeba tylko cierpliwie wierzyć.

STARY GRINGO: znów film stylowy i odbiegający od specyfiki lat osiemdziesiątych, z zamazystymi rolami Jane Fondy i Gregory Pecka. Historia dwojga samotników i tego trzeciego — przywódcy ludowego, którego odwarza Jimmy Smits — w wirze rewolucji meksykańskiej. Niektórzy uważali, że to hollywoodzka imitacja tego, co oryginalnie zawarte w powieści Carlosa Fuentes. Wydaje mi się, że nie; że dokładniej tak wygląda epika latynoska, z całą kipiącą emocją, tańcem ze śmiercią i cieniem przeczucia. W każdym razie Luis Puenzo skonstruował konsekwentne, pełne wigoru widowisko.

Wreszcie — BRAZIL Terry'ego Gilliana, bardzo oryginalny brytyjski film science fiction, trochę spod znaku Orwella, ale także spadkobierca METROPOLIS Fritza Langa i całej tradycji humoru brytyjskiego: poetycka fantazja, historia przygodowa, przypowieść filozoficzna. Sądzę, że nie do ominięcia dla widza myślącego.

Cały ten wybór jest zresztą atrakcyjny tylko dla amatorów kina, w którym o coś chodzi. Rok 1990 dawał im jeszcze spore szanse: kilka wymienionych tytułów to rewanż z lat ubiegłych, paru innych chyba nie kupiliby nowi dystrybutorzy. Na rok bieżący nie sposób przy takiej okazji nie życzyć wszystkiego jeszcze lepszego, ale wcale nie jestem pewien, czy tak będzie. Miejmy nadzieję; zobaczymy.

HYDE PARK czytelników

Do naszego HYDE-PARKU nadesłano wiele listów. Były wiersze i opowiadania, fragmenty powieści i życzenia świąteczne. Za wszystkie życzenia serdecznie dziękujemy! Prosimy o przysyłanie czytelninie przepisanym prac (najchętniej zobaczymy maszynopisy). Dzisiaj proponujemy „rozważania dziada z politycznej szopki noworocznej” JERZEGO BODZIONEGO z Mszany Dolnej:

GRUBA KRECHA

Nowa władza ustaliła, (ta po czwartym czerewie) Grubą krechą oddzieliła. Żadnej zemsty być nie może, Narodowi to pomoże.

Gdy żegnano się z przeszłością, Nie pałano tam miłością I starczyła ta narceza Do wyboru Lecha wodza. Winni byli ci znać krechy, Teraz winni ci spod krechy, Co tu począć, co zarządzić, By z całością można rządzić? Lech się teraz zastanawia, Jaki wariant wybrać prawa, Dla tych spod i znać krechy,

Jak odpuścić im te grzechy. Ci spod krechy to rodzina, Ci znać krechy to komuna. Tych spod krechy się pocieszysz, Tych znać krechy się rozgrzeszysz.

Trzeba by tu zebrać klechy, Wiedzą, jak odpuszczać grzechy, Jaką komu dać pokutę, By tańczyli jego nutę.

Jakiś prałat ukaz wydał: Pop i rabin by się przydał, A to z prostej tutaj racji — Spowiedź będzie różnych nacji. Będą popi i rabini, Problem jest z ateistami. Ich nie można za to winić, Że zblądził z wierzącymi.

Dalej Lech się zastanawia, Jaka z tego wyjdzie sprawa? Jemu zaczną grozić krechą, Będzie dla nich to uciechą. Zrezygnował ze spowiedzi, Lecz na miejscu nie usiedzi, Nowy koncept ma już w głowie, Niech rozstrzygną to posłowie.

Ci znać krechy i spod krechy Posłów mają w parlamencie, Sejmu Izba ich rozgrzeszy- No i będzie po lamencie.

Andrzej Zaręba przedstawia



Andrzej Druwicz

DEKADA LITERACKA — tygodnik kulturalny. Wydawca: Spółka Wydawnicza „Gazeta Krakowska”. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Ewa Lipska, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Piekło, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Waław Iwaniuk (Toronto, Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska.